NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. – **Do Niemiec:** Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. – **W Ameryce:** Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 40 halerzy — 20 kop. — 40 fen.

Rok XIII. **Kraków, 9 września 1916.** **Nr. 37.**

Z walk Legionów.



Szósty pułk Legionów nad Stochodem.

Z walk Legionów.

Dwa lata minęły od chwili, gdy pierwszy zaczątek przyszłej armii polskiej, Strzelcy Piłsudskiego, przekroczyli granicę rosyjską. Od tego czasu wiele się zmieniło, w międzyczasie zorganizowano Legiony polskie, które dziś siłą liczebną dorównują pełnemu korpusowi armii.



Wypadki na Bałkanie: Zaimis, grecki prezydent ministrów.

Jak w dziejach obecnej wojny światowej zapisały się Legiony, o tem wspominać nie potrzeba; wystarczy powiedzieć, że z największem uznaniem i pochwałami wyrażają się o nich nie tylko swoi, lecz i obcy, zwłaszcza zaś Niemcy, z którymi walczyli ręka w rękę na wschodnim froncie. Cały szereg najróżnorodniejszych odznaczeń przypadł za to w udziale naszym dzielnym Legionistom, którzy przypomnieli światu świetne tradycye dawnych wojsk polskich.

A trzeba przyznać, że dziwnym trafem właśnie Legionom dostawały się najgorsze pozycye i najtrudniejsze zadania do wypełnienia, a oni wszędzie potrafili się dzielnie popisać i innych jeszcze swym przykładem zagrzać do męstwa.

Zwłaszcza w czasie ostatnich starć na Wołyniu przyszło do walczenia z wielu trudnościami. I teren nie bardzo wygodny, gdyż tylko bagna i nieprzebyte piachy i usposobienie miejscowej ludności bardzo nieprzychylne, nieraz nawet wprost wrogie, wreszcie liczebna przewaga nieprzyjaciela, doskonale uzbrojonego, to wszystko zawsze łączyło się, aby wypaść na niekorzyść naszych młodzieńczych bohaterów. Ale oni nie stracili fantazyi i ducha. — Im więcej było trudności, tem więcej okazywali zapału, zdobywając sobie uznanie i serca starych, w wojnach osiwiałych wiarusów. Opowiadają, że gdy na Wołyniu żegnali się Legioniści z walczącym dotąd wraz z nimi pułkiem landszturmu bawarskiego, starzy Bawarczycy brali w objęcia jednego po drugim i całowali, jak własne dzieci.

Rozdział historyi Legionów, traktujący o walkach na Wołyniu, to może rozdział najpiękniejszy i najwięcej chluby przynoszący dla polskiego męztwa.



Wypadki na Bałkanie: Król grecki Konstantyn z żoną

Wypadki na Bałkanie.

Bałkan — ten „kocioł Europy“, którego wrzenie wprawiało tak często w gorączkę całą Europę, aż nareszcie rozpaliło w niej wojnę — znowu stał się jedną z jej głównych widowni, na której rozgrywają się doniosłe, może rozstrzygające wypadki. Wystąpienie do boju przeciwko Rumunii Turcyi i Bułgaryi wraz z wojskami niemieckiemi, a zwłaszcza wypadki w Grecyi, znowu zwracają na nią oczy całej Europy. Koalicya, chcąc mocarstwom centralnym od tej strony zadać cios decydujący, rozpoczęła na Bałkanie kampanię zarówno militarną, jak „dyplomatyczną“, nie przebierającą w środkach. Kampania jej militarna została na razie wstrzymana w zapędzie przez wystąpienie bułgarskie; generał Sarrail, który w Salonikach zgromadził armię podobno półmilionową ze wszystkich wojsk koalicyi — francuskich, angielskich, rosyjskich, serbskich, włoskich, a nawet trzydziesto tysięcznego korpusu albańskiego pod wodzą Essada baszy — musiał nareszcie wstrzymać swoją ofenzywę, gdy Bułgarzy, zamiast czekać na atak, sami na niego uderzyli. Natomiast wyzyskuje swoją potęgę, aby terroryzować do reszty znajdujące się na terytoryum macedońsko greckiem wojska greckie i zmusić je, bodaj siłą, do wystąpienia przeciw Bułgarom w roli „macedońskich ochotników“.

Jeszcze bardziej zdecydowane są na Bałkanie obecne gwałty dyplomatyczne koalicyi. Podburzywszy Rumunię do wojny, koalicya chce z kolei wciągnąć do niej Grecyę — per fas et nefas. Ponieważ król Konstantyn, szwagier cesarza Wilhelma, chce sta-

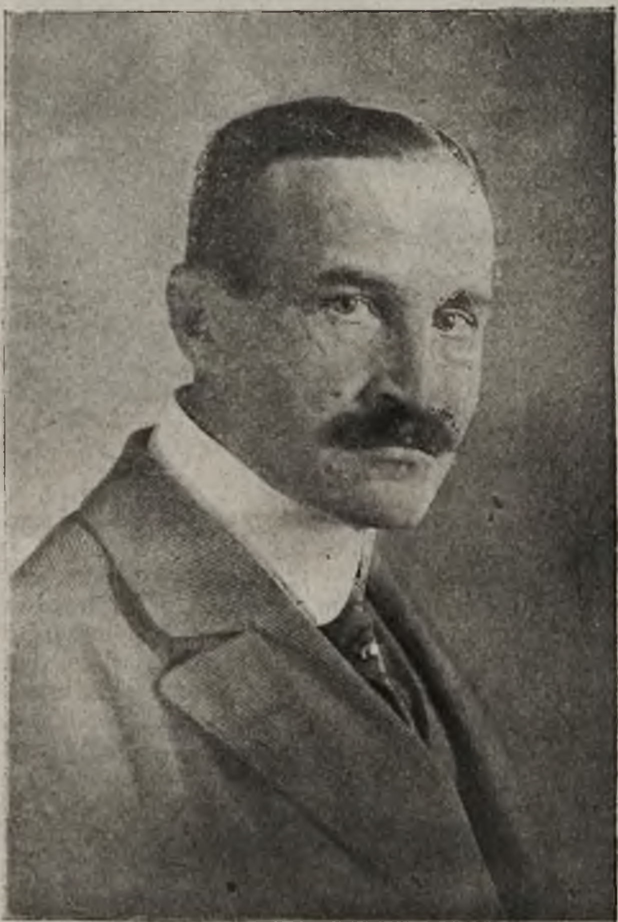


Wojna z Rumunią: Król rumuński na czele oddziału wojska



Wojna z Rumunią. Filipescu, rumuński minister, jeden z głównych podżegaczy do wojny.

nowczo zachować neutralność, więc koalicya nie cofa się ani przed intrygami, ani przed groźbami i gwałtami — aby go albo zmusić do porzucenia neutralności, albo nawet usunąć. Wieści, nadchodzące o położeniu w Grecyi, są zupełnie bałamutne i mętne. Była już wiadomość w formie niemal pewnej o abdykacyi króla Konstantyna i powołaniu na tron księcia Jerzego; przy tym ostatnim pozostał na czele rządów i gabinetu Zaimis, ale przydzielony mu został do współrządzenia Venizelos, znany jako namiętny zwolennik koalicyi polityk grecki. Druga wiadomość mówi tylko o tem, że król Konstantyn jest chory; ale tymczasem dotychczasowy „neutralny“ szef sztabu



Nowa era teatru krakowskiego: Dyrektor Adam Grzymała-Siedlecki.

greckiego, Dusmanis, został odwołany, a w jego miejsce mianowany Moschopulos, stanowczy koalicyonista; a w porcie przed Atenami, Pireusie, stoi flota bojowa anglo-francuska, gotowa wymową armat poprzeć życzenia dyplomatów koalicyi, przedkładane rządowi i królowi greckiemu; takim argumentom oprzeć się trudno. To też Grecya zapewne znajduje się w zwrotnym punkcie swoich dziejów, a wypadki na Bałkanie zaczynają zdążać szybkim krokiem do rozstrzygnięcia.

Wojna z Rumunią.

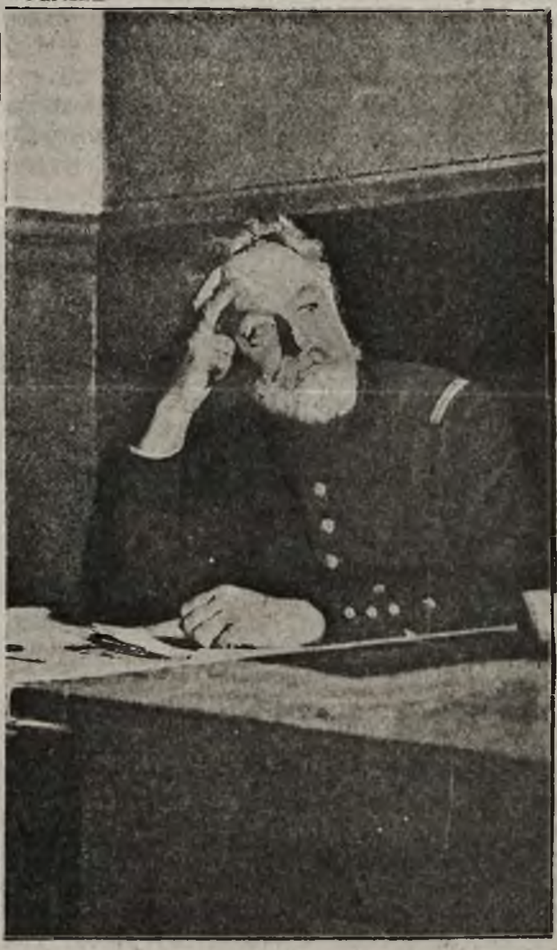
Początki wojny przyniosły Rumunom łatwe laury; udało im się zająć parę większych miast, jak Kronsztadt i Hermansztadt, oraz cały pas nadgraniczny Siedmiogrodu — niebroniony przez wojska austro-węgierskie. Królowi Ferdynandowi rumuńskiemu było



Wypadki na Bałkanie: Essad-pasza, przywódca korpusu albańskiego w Salonikach.

nawet tak pilno, że pojechał czemprędzej do Kronsztadtu, czy też Braszowa (Brasso, jak go nazywają Węgrzy); zapewne przypomniał sobie przykład cara Mikołaja, który też pospieszył zwiedzić Lwów i nacieszyć się jego widokiem, zanim mu go — odebrano.

Ale powodzenia Rumunów mogą się na tem zakończyć i to dość szybko. Albowiem Rumunii wypowiedziały wojnę, jak było do przewidzenia, Niemcy, Turcya, a wreszcie Bułgarya, mająca z nią stare rachunki za traktat bukareszteński. Niemiecko-bułgarskie wojska już wkroczyły do Dobrudży rumuńskiej; maszerują tam podobno przez nią wojska rosyjskie, ale czy zdążą na obronę rumuńskiego terytoryum i czy je obronią, to pytanie. Wobec zaś tego Rumunia, zamiast najeżdżać Siedmiogród, będzie musiała pomyśleć o ochronie własnej ziemi; już podobno fortyfikują Rumuni pospiesznie stolicę, Bukareszt. Zamieszkujący go pan Filipescu, polityk i minister, jeden z głównych podżegaczy Rumunii do wojny, przeżywać może niedługo przykre chwile; dwór rumuński zaś, nie czekając, przenosi się ze stolicy do Gałaczu — bliżej przyjaciół rosyjskich.



Wypadki na Bałkanie: Generał Sarrail, dowódca armii koalicyjnej na Bałkanie



Z walk Legionów: Karabin maszynowy w rowie strzeleckim.

Nowa era teatru krakowskiego.

Zbieg okoliczności wojennych sprawił, że właśnie w czasie wojny, po dwuletnim blizko okresie niejako tymczasowej egzystencyi, teatr krakowski wszedł wreszcie w zupełnie nowy okres swego istnienia, rokujący mu, w razie pomyślnego ułożenia się ogólnych warunków życia w Polsce, rozwój możliwie najpiękniejszy i wszechstronny. Punkt zwrotny tego okresu — to zupełne „umiastowienie“ teatru. Był on oddawna własnością gminy; ale dotąd oddawano go dyrektorom w dzierżawę, zostawiającą im znaczną, ograniczaną tylko pewną kontrolą komisyi teatralnej miejskiej, swobodę rządzenia w teatrze. Swobody tej różnie różni używali. Jedni obracali ją na wyłączne służenie sztuce, jak n. p. ś. p. Pawlikowski; inni sztuce służyli, ale nie zapominali i o sobie; jeszcze inni tylko siebie mieli na względzie. — W każdym razie wszyscy mieli prawo i możność uważania teatru za „interes“, za przedsiębiorstwo dochodowe.

Z umiastowieniem teatru zupełnem sytuacya ta



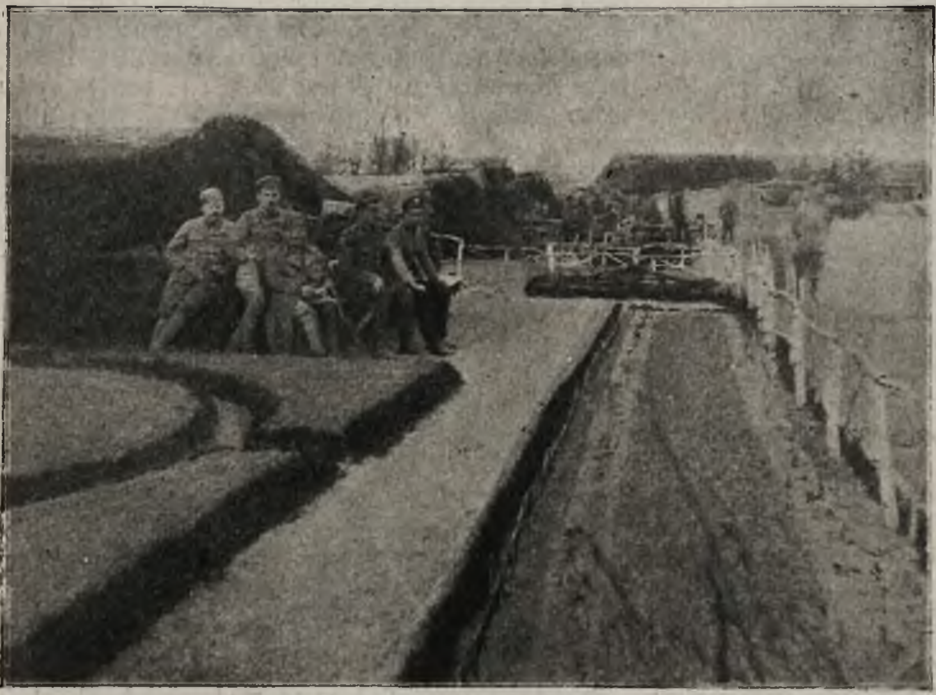
Legioniści w cerkwi przerobionej na kościół.

Z walk Legionów:



Wille Legionistów.

się zmieniła. Dyrektor nie jest już „dzierżawcą"; jest wprawdzie kierownikiem teatru, ale zarazem urzędnikiem gminy; a dochody z teatru gmina zobowiązała się obracać wyłącznie na cele samego



Z walk Legionów: Ziemianki Legionistów w Karasinie.



Wypadki na Bałkanie: Nad jeziorem Doiran.

teatru, na rozszerzenie sceny czy jej ulepszenie; o ile będą, albowiem teatr nie ma odtąd być uważany za „interes" dochodowy. Aby zaś jak taki nie był przypadkiem traktowany mimo wszystko, nad tem między innymi, nawzajem czuwać ma prawo — dyrektor.

Los zdarzył, że drugim dyrektorem, który w umiastowionym teatrze zajął ten posterunek, zapewne na stałe, jest człowiek, który nad interesem teatru, jako instytucyi artystyczno-społecznej napewno czuwać zechce i potrafi. — Dyrektor Adam Grzymała Siedlecki jest człowiekiem literaturze i sztuce, a przedewszystkiem sztuce teatru oddanym oddawna i zupełnie. Kierownictwo literackie teatrem krakowskim sprawował jeszcze za dyrektury Solskiego; w tym też czasie napisał dzieło o teatrze Wyspiańskiego, które na niego zwróciło uwagę nie tylko, jako na znawcę dramatów Wyspiańskiego, ale i teatru wogóle. Przeniósłszy się do Warszawy, uprawiał tam krytykę literacką w stylu najpoważniejszym, w sądach swych zdradzając wytrawność i dojrzałość, głębokość myśli i wrażliwość czucia, a przytem wszystkiem świadomość stałego i nierozerwalnego związku literatury z tem, czego ona jest odbiciem — z życiem społeczeństwa. Jednocześnie zaś znów objął kierownictwo repertuaru w jednym z teatrów warszawskich. To wszystko uczyniło go człowiekiem teatru par excellence w najlepszem tego słowa znaczeniu; bo i fachowcem sceny i znawcą literatury dramatycznej, przy pojmowaniu sztuki, jako swego rodzaju służby publicznej o pierwszorzędnem znaczeniu w życiu duchowem społeczeństwa.

Z tym zapasem wiedzy i doświadczenia, a jednocześnie dobrych chęci, więcej — zapału dla teatru polskiego wogóle obejmuje dyr. Siedlecki obecnie kierownictwo sceny w Krakowie. Obejmuje w czasie trudnym, w warunkach dla sceny bardzo złych — wszechstronnie niepomyślnych: ze względu na repertuar, na publiczność i na artystów. Repertuar pozbawiony jest świeżego dopływu — zarówno zagranicznego, jak swojskiego; publiczność zajęta wojną i biedą powszechną; a personal artystyczny zdekompletowany. — Zdaje on sobie też sprawę z wpływu tych czynników i odpowiednio do tego formułuje swój program teatralny — na dziś. Zamierza — jak oświadczył — „nie tyle kusić się o nowe podboje w dziedzinie twórczości teatralnej, reformy, innowacye, ile nie uronić nic z tego, co kultura lat dawniejszych w tym teatrze wypraco-



Z walk Legionów: Przy karabinie maszynowym w polu.

wała, stać się kustoszem majątku artystycznego, zbieranego przez takich ludzi, jak Koźmian, Pawlikowski, jak Kotarbiński w zakresie inicyatywy repertuarowej, jak Solski w zakresie doprowadzenia gospodarki scenicznej do stylu naprawdę nie codziennego, przekazać czasom lepszym nie pomniejszony choćby poziom wysiłków tej sceny, której warunki są bądź co bądź prowincyonalne, a której przeznaczenie i zwycięzka ambicya kierowników uczyniły z niej posterunek, widny na całą ojczyznę".

Jest to program pozornie tylko skromny, w istocie zaś swej kryjący nie tylko szlachetne, bo bezinteresowne ambicye, ale i głębokie ukochanie sprawy i głębokie pojmowanie zadań teatru, które widnieje w dalszem rozwinięciu przez dyrektora Siedleckiego tego programu. Zadaniem tem jest:

„Utrwalić w sobie i wzbudzić we współpracownikach świadomość tego, czem jest scena krakowska, na której nam dane jest trudzić się, utrzymać wagę teatru, który w Polsce był czemś więcej, niż zwykłem miejscem rozrywki, zachować ciągłość intenzywnej pracy, przez którą scena nasza stała się jedną z pierwszych, płonąć ambicyą zwycięstw przy ograniczonych środkach działania, być słowem — o ile warunki czasu wojny pozwalają — pierwszorzędnym w zamiarach i nie ostatnim w wykonaniu teatrem w Polsce."

Ogłoszony już repertuar na najbliższe miesiące wskazuje, że nowy dyrektor w dążeniu do urzeczywistnienia wyżej skrystalizowanego programu zamierza iść między innemi, drogą uprawiania przeważnie polskiego repertuaru, popierania przedewszystkiem swojskiej twórczości dramatycznej. Przy skrępowaniu teatru obecnemi niepomyślnemi warunkami, jest to narazie jedyna dostępna reforma; wskazuje ona jednak zarówno właściwe pojmowanie swego zadania, jak niemałą odwagę, która z wielu stron spotkać się może z niechęcią. Pewne jednak zjawiska wskazują, że ta odwaga znajdzie poparcie szerszych sfer publiczności, która rodzimą ale wartościową twórczość i w teatrze oceniać zaczyna. Urzeczywistnienie całości programu, zakreślonego teatrowi krakowskiemu przez nowego kierownika, nie od niego tylko oczywiście zależy. Los i zdarzenia wypowiedzą tu swoje najbardziej ważkie słowa; co do dyr. Siedleckiego można być pewnym, że on swoje zrobi i swej pracy odda się, a raczej już się oddał z całym zapałem. Pełen skromności, w swym całym programie nie wiele on mówi o sobie; ale tem więcej liczą nań inni, którzy w osobie nowego kierownika widzą jedną z gwarancyj po temu, że dla krakowskiego teatru nastaje nowa era.

St. M.





W obozie Legionistów przed przyjazdem komendanta. **Z walk Legionów:** Okopy legionowe pod

JÓZEF LASOŃ.

Tajemnice starego dworu.

(Opowieść z walk Legionu na Wołyniu).

3

— Światła! — krzyknął oficer.

Stara służąca, Tekla, drżąc na całem ciele, zapaliła w kuchni naftową lampę.

W jednej chwili kozacy rozbiegli się po pokojach, roznosząc światło i szukając ukrytych.

Grodzka z córkami zamknęła się w bibliotece, podczas gdy Grodzki stanął bezradny w tłoku żołnierskim.

— Gdzie właściciel? — spytano służącej.

— A tam — odparła niechętnie Tekla — wskazując ręką ku drzwiom.

— Jestem — odezwał się Grodzki, stanąwszy przed oficerem.

Spojrzały nań szydercze, okrutne oczy, nie zadrżał jednakże, stojąc w wyczekującej postawie.

VII.

— Cóż to? — ironicznie zapytał oficer rosyjski — Pan, jak widzę, do podróży się przygotował?

— Tak jest! Wyjeżdżamy!

— A rodzina?

— Również!

— A gdzie jest? — pytał dalej oficer, wyzywającym wzrokiem patrząc w oczy Grodzkiemu.

— Gdzieżby? U siebie, w pokoju!

— A synek?

— W Warszawie, chodzi do gimnazyum!

— Ach, pardon! — przerwał oficer — Pytam się o Wacława, który tu kilka dni był.

— Posłany do wuja, do Lublina — odrzekła Grodzka, wychodząc z pokoju.

Śmiałe słowa i imponujący gest żony zmieszał trochę oficera. Twarz jego powściągnęła się w ironii, zato usta więcej surowością się ściągnęły, a oczy bezwzględnością zabłyszczały.

— Proszę mówić prawdę! — surowo zgromił.

— Cóż to, śledztwo? — przerwał Grodzki.

— Ta...a...k! — wycedził przez zęby oficer — Śledztwo, które się może dla was źle skończyć.

— Dlaczego? — zapytał Grodzki.

— Dowie się pan niedługo! A teraz proszę odpowiadać na pytania.

— Proszę!...

— Kto tu stał na kwaterze?

— Legiony! — dobitnie odpowiedział dziedzic.

— Buntowszczyki!...

— Nie buntowszczyki, ale żołnierze polscy.

— Niema Polski, niema więc i żołnierzy.

— Dokąd jeden Polak żyje, dotąd będzie żołnierz polski! — odparł Grodzki, spokojnie głaszcząc rękami siwą brodę.

— Nie wchodzę w żadne dyskusye! — zaakcentował oficer.

Spojrzenia ich skrzyżowały się ze sobą.

— Przyjmowałeś pan wkraczającego nieprzyjaciela bardzo, o bardzo gościnnie.

— Przedewszystkiem nie był to dla nas nieprzyjaciel; byli to żołnierze Legionu, Polacy. Byli to zatem moi rodacy, może nawet dobrze znajomi.

— Ale byli to wrogowie Rosyi!

— Czy pan, panie poruczniku, jako człowiek kultury, jako Rosyanin, bierze za złe miłość Ojczyzny? Czy pan mniema, że podbity naród nie ma prawa upomnienia się o swą wolność?!

— To nie należy do rzeczy! — przerwał oficer — Nie ja pana w tej chwili chwili pytam, ale ustawy, prawa, które pan, jako poddany rosyjski, znasz i przekroczyłeś.

— Dlaczego?

— Ugaszczając wrogów, idąc z nimi ręka w rękę, dopomagając w operacyach wojennych.

— W jakiż ja sposób mógłbym dopomagać w operacyach wojennych? — zdumiał się Grodzki — Nie mam pojęcia o nowoczesnej sztuce wojennej!

— Choćby przez objaśnianie terenu, przesuwania się wojsk rosyjskich, ilości i jakości wojska, artyleryi i t. d., a wreszcie, choćby przez... posłanie syna i parobka do ich szeregów.

— Jestem Polakiem!

— Więc pan to wszystko potwierdza?

— Nic nie potwierdzam.

— A syn gdzie?

— W Legionie!

— Aha!

— Obowiązkiem Polaka było i nic więcej! Ja sam, gdybym był młodszy...

— Słowa pańskie są potwierdzeniem winy.

— Dla mnie są wystarczające.

— Dla mnie również. Jesteście aresztowani.

— Ja chyba... — odparł dumnie Grodzki — ale rodzina moja może wyjechać!

— Nie.

— Ależ, proszę pana...

— Mam rozkaz! Proszę udać się do pokoju.

Odkomenderował jednego z żołnierzy jako wartownika przy drzwiach pokoju. Grodzki bez słowa dalszego protestu udał się wraz z żoną do saloniku, gdzie w trwodze oczekiwały na powrót rodziców córki.

— Mamusiu, co się stało? — przypadła do matki Anielka, widząc zapłakaną twarz.

— Jesteśmy aresztowani.

— Co nam grozi? — spytały obie córki.

— W każdym razie wywiozą nas stąd do więzienia pod eskortą żołnierzy. Bóg wie, jakie nas czekają przejścia.

— Wszyscy? — zapytała stara służąca, Tekla.

— Wszyscy.

— To i jo też? A niechta! — mruczała pod nosem Tekla — Jak państwo, to i jo. Cóżbym bez wos robiła!

Dwór zajęto na kwatery oficerskie i komendę. W budynkach dworskich, jak również po stodołach, rozlokowali się żołnierze rosyjscy. Porozbijano namioty na ogrodach, jak również na polance obok dworu.

Długie godziny przeszły zanim zdołano rozmieścić się we dworze, tembardziej, że bitwa trwała w dalszym ciągu. — Przeciągłe dudnienie armat grzmiało ustawicznie. Dopiero koło północy bitwa przycichła. Pozorny spokój zapanował na linii.

Z Grodzkich nie zmrużył nikt ani oka. Z pokojów dochodził stukot przerzucanych, na nowo ustawianych mebli. Zawezwano kucharkę do gotowania kolacyi, ta jednakże opierała się początkowo temu żądaniu, mówiąc do żołnierza, który tu przyszedł do niej z wezwaniem:

— Nie pójdę, bo ja aresztowana!

— Prikaz!

— Ale jo nie pójdę!

— To ja cię babo siłą wezmę! — zaśmiał się kozak — rozkrzyżowując silne ramiona.

Tekla narobiła wrzawy, która przywabiła starszyznę z przyległych pokojów.

— Co się stało? — spytał jeden z nich.

Kozak, zasalutowawszy, zdał raport.

— No, idź! — krzyknął groźnie do Tekli.

— Nie pójdę! Jestem aresztowana!

— Ty nie!

— To niech i państwo bedom nie! — postawiła w swej naiwności stara służąca warunek, sądząc, że w ten sposób wyswobodzi Grodzkich.

Dopiero interwencya Grodzkiego skłoniła Teklę do pójścia do kuchni. Odchodząc, mruknęła jednak pod nosem:

— Bede wam, cholery, gotować! Aż się podławicie tem żarciem.

Żołnierze rosyjscy poczęli znosić z trenów kosze z flaszkami i rozmaite prowianty, układając to na ganku, aby w miarę potrzeby używać. Z pokoi zabrano dworskie zastawy i widocznem było, że zanosi się na ucztę, która nie będzie przebierać w miarach.

— Będzie pijatyka — zauważyła Grodzka.

— Zdaje się — odparł Grodzki, pochylając się nad stołem.

W mózgu jego wytworzył się przygnębiający chaos. Ze słów oficera rosyjskiego, prowadzącego wstępne śledztwo, wynikało, że jeżeli nie bezwzględnie, to w każdym razie z całą surowością będzie prześladowany. Spokój, który dotychczas zachowali wobec niego, świadczył, że oskarżenie chłopów musiało być nadzwyczajne i doszło do wyższej komendy, która wzięła ich w swoją opiekę.

— Patrz! — szepnęła Grodzka — Córki zasnęły.

Na kanapie leżały dwa przytulone do siebie ciała córek, splecione ze sobą rękami. Podróżne żakiety, podłożone pod główki, a z pod aksamitnych czapeczek wysunęły się gęste, czarne zwoje warkoczy, rozplecione przez sen.

Grodzka podeszła ku nim, delikatnie dotknęła ustami główek córek i szepnęła wzruszona:

— Moje biedne skarby!

Grodzkiego dławić poczęła myśl o synie. Troski jedna za drugą przechodziły mu przed oczyma, coraz smutniejsze stawiając horoskopy. W rozmowie z oficerem zagalopował się niepotrzebnie, odsłaniając mu swe serce. Ale człowiek w porywach szlachetnych rzadko kiedy może się hamować. — Był wzburzony indagacyą oficera rosyjskiego, stanął więc na stanowisku patryoty. Ale to szczere wyznanie mogło mu zaszkodzić; mogło być potwierdzeniem oszczerstw i doniesień, uczynionych przez chłopstwo.

— Gdzie teraz Wacek? — szepnęła do siebie matka.

Grodzki podniósł głowę i spojrzał na żonę. Wynędzniała jej twarz była świadectwem wszystkich przejść i wzruszeń, które przeszła. — Ale dumnie przychylone usta, zacięte w sobie, świadczyły o nieugiętości i harcie ducha.

— Maryniu! — wyrzekł Grodzki i przypadł do kolan żony, nie mogąc ze wzruszenia słowa wymówić.

— Mój ty Janie!

Miłość, wiążąca ich przez długie lata, spajała coraz silniej te dwie istoty w chwilach wielkich przejść i wzruszeń. Wywnętrzając się jedno przed drugiem, uczuli ulgę w cierpieniu.

Zwierzenia ich przerwały podniesione głosy, dochodzące z przyległych pokoi.

— Pijatyka się zaczyna — mruknął Grodzki.

— To najgorsze! — odparła żona.

W pokojach zanosiło się bowiem na ucztę „iście rosyjską“.

VIII.

W salonie Grodzkich wrzawa.

Pękają z hukiem korki szampańskie, wznoszą się toasty na przerozmaitą cześć. — Krążą po kolei szklanki z wódką i koniakiem, którego ustawicznie dostarczają stojący przy drzwiach żołnierze rosyjscy, ordynansowi. Dookoła stołu kiwają się pijane postacie oficerskie, krzywią się grymasami usta, wyrzucając grubijańskie słowo lub przekleństwo.

Ktoś wyrżnął szklanką o sufit.

Było to pobudką do zabawy.

Napełniono szklanki próżne koniakiem, czy szampanem i, wypijając duszkiem, poczęto szkło rozbijać.

Jedni rzucali pod stół, drudzy z siłą bili szkłem o sufit i im drobniejsze tworzyły się szczątki z rozbitego naczynia, tem silniejszy powstawał huragan śmiechu. — Podniesione głosy pochrypły w krzykach, śpiewie miłosnych piosenek, lub ordynarnych zwrotek.

Chudy, wysoki praporszczyk podniósł się ociężale z krzesła i, huśtając się na nogach, podszedł do przeciwnego rogu stołu, zamierzając uderzyć szklanką o sufit. Nagle oko jego dojrzało wiszący portret na ścianie. Przy płonących świecach oczy portretu wpatrywały się groźnie w stojącego naprzeciw oficera. Przyżółkłe, złocone ramy szkliły się palącym kolorem.

— Ot, buntowszczyk, Lach! — krzyknął chrypliwie.

— Gdzie, co, jak? — spytali niektórzy, zwracając głowę w stronę praporszczyka.

Trzęsącą ręką wskazał na portret; koledzy wybuchnęli śmiechem.

Praporszczyk podniósł groźnie rękę, uzbrojoną w szklankę i, chwiejąc się na nogach, usiłował rzucić w portret. Wreszcie, nabierając rozmachu, zakręcił ruchem ręki półkole; szklanka uderzyła z siłą w głowę portretu, przedarła płótno, rozbijając się w tysiączne kawałki na twardej ścianie pokoju. Ale w tejże chwili praporszczyk stracił równowagę i runął jak długi pod stół. Pochwycili go koledzy, stawiając na nogi.

— Iwanowicz! — zgromił go sztabs-kapitan, o długich, tatarskich wąsach i skośnych oczach — No, uspokój sia!

— Prikaz — wybełkotał praporszczyk, usiłując zasalutować.

Posadzono go powrotnie na krześle, usiadł i błędnym wzrokiem patrzył na kolegów.

Tekla wyciągnęła już ostatki zastawy stołowej, mrucząc pod nosem:

— Jak to, psiekrwie, rozbijecie, to bedziecie żryć i pić chyba w świńskiem korycie. Nie dom nic!

Na podłodze salonu piętrzyły się kupy szkła, porcelany, pobitych serwisów, szklanek i flaszek.

Otyły podporucznik, podnosząc flaszkę szampana, świeżo odkorkowanego, przytknął do ust, skosztował trochę, skrzywił usta, poczem z rozmachem uderzył flaszką o drzwi, przy których stali ordynansi, krzycząc na całe gardło:

— Wódki, sukinsyn!

Żołnierz obtarł zakrwawione czoło, poprawił zesuniętą na czoło odłamkami szkła czapkę i zasalutował, mówiąc:

— Niema już wódki, panie poruczniku.

— Co?! — zerwał się otyły podporucznik — Niema wódki? A piwnica dworska co?

Mówiąc to, uderzył ordynansa kułakiem między

oczy. Głowa żołnierza stuknęła silnie o ścianę i zachwiał się na nogach.

— Według rozkazu! — odparł po chwili po rosyjsku.

Wnet też wniesiono kilka flaszek i toasty szły w dalszym ciągu jeden za drugim.

Ktoś wyszedł na szafę dużą, obszerną; podano mu krzesło, na którem usiadł spuszczając nogi na dół. Kiwając rękami w takt, rozpoczął śpiewać ordynarne zwrotki pieśni grenadyerskiej. Inni powtarzali chórem, ochrypłymi głosami od trunków, przy słowach bardziej ordynarnych wybuchając śmiechem.

— Sztabskapitan! Hurra! Na górę! — krzyknął podporucznik, zmierzając w jego stronę.

Pochwycili go za ręce, nogi, tułów, podrzucając do góry. Wkońcu śpiewak poddał myśl, aby wystawić na szafę nizką sofkę, plecioną z trzciny, sto jącą obok stolika.

Gdy ustawiono sofkę, wywindowano sztabskapitana do góry, a następnie zajął miejsce obok niego porucznik z cwikierem na nosie.

Praporszczyk, chwytając się rękami szafy, usiłował zachować równowagę i wydostać się na wierzch szafy.

Przeciągłe krzyki śpiewających mieszały się z brzękiem tłuczonych szklanek, z dźwiękiem ostróg i szabel i tupotem butów, uderzających o podłogę.

— Na górę chcę! — zawył praporszczyk.

— Nie, nie można!

— Ha!

— Pijanyś!

— Kto pijany! Ja? — krzyknął groźnie.

— Ty! — odparł silny brunet, oficer kozacki.

Praporszczyk uchwycił słoik z musztardą i rzucił w stronę oficera kozackiego.

Ten jednak szybko uchylił się przed pociskiem, a słoik rozbił się na ścianie, rozbryzgując zawartość na twarze i surduty najbliżej stojących.

Zaniosło się na bójkę. Ale inni oficerowie wskoczyli między przeciwników i uchwycili ich pod pachę.

Kozakowi oczy krwią zaszły, usta zapieniły się, wyprężył silnie ramiona i, wdychając głęboko powietrze, usiłował uwolnić się od uścisków kolegów.

— Puszczajcie!

— Milczeć! — krzyknął groźnie sztabskapitan, powstając na szafie — Co, wy awantury?! Bitki?! A dam wam! Ech! — zgrzytnął zębami — Przeproście się! Wy mi tu zabawę będziecie psuli? Pasoł won!

Zrobiła się chwilowa cisza. Napastnicy oprzytomnieli pod groźnemi słowami sztabskapitana, zaprzestając kłótni. Przerwana zabawa na nowo się zaczynała. Całą zastawę stołową, szklanki, serwisy rozbito już.

Jeden z oficerów dojrzał stojące w koszu kwiaty. Zerwał kilka, rzucając na siedzących. Za jego przykładem poszli i inni, wyrywając białe, śnieżne tulipany, razem z korzeniami i rzucając do góry. Żołnierze rozbiegli się po pokojach, znosząc wazony z kwiatami.

Wśród śmiechu, okrzyków, chrapliwego śpiewu, obrzucano się gwałtownie kwiatami. Czasami cały wazonik z świstem przeleciał ponad głowami, rozbijając się o sufit.

Praporszczyk, chodząc omackiem, obserwował oficera kozackiego, przyczem nastąpił na żołnierza ordynansowego i krzyknął:

— Wódki!

— Rum jest tylko — odpowiedział ordynans.

— Dawaj rum.

Żołnierz odkorkował butelkę rumu i podał praporszczykowi, który, wypiwszy za jednym łykiem, rzucił butelką o drzwi. Ordynans przytrzymał chwiejącego się praporszczyka i usadowił go na krześle. Kozak śledził go wzrokiem. Spotkały się ich oczy na pół przytomne, gniewne, srogością rozpalone.

Wreszcie praporszczyk pochylił głowę; nudności przepitego żołądka poczęły go ogarniać i sprowadziły głębokie odbijanie. Wyciągnął rękę ku ordynansowi pokazując na drzwi. Żołnierz podbiegł, wyprowadził go za drzwi i wprowadził do bocznego pokoju; pochwycił oburącz praporszczyka, któremu przeładowany żołądek wypowiedział posłuszeństwo.

Po kilku minutach przyszedł praporszczyk cośkolwiek do siebie. Rozglądnął się dookoła; słabe światło świecy rozświetlało wnętrze pokoju.

— Co tu robisz? — zapytał żołnierza, wartującego pod drzwiami biblioteki.

— Pilnuję aresztantów.

— Jakich?

— Właściciela dworu! Buntowszczyków!

— Buntowszczyków?

— Tak jest!

— A kobiety tam są?

— Są!

— Młode, stare?

— Ot, dwa podlotki krasnolice, ot i mamusia niczego. Ja bym wolał mamusię! — uśmiechnął się wartownik.

— Tak mówisz?

— Tak wasze błahorodje!

— No, to ja wolę podlotki! Ty pohulasz z mamusią! — zaśmiał się pijany praporszczyk.

— Według rozkazu!

Postąpił ku drzwiom biblioteki, nakazując ordynansowi odejść. Podszedł bliżej ku wartującemu żołnierzowi i szeptem zapytał:

— Śpią?

— Śpią!

— A córki gdzie?

— Na kanapie!

— Ot, dwa gołąbki! Ty pilnuj dobrze, dostaniesz synogarlicę!

— He... he... he... — zaśmiał się żołnierz.

— A teraz roztwórz cicho drzwi!

Żołnierz wypełnił polecenie, a praporszczyk szepnął groźnie do niego:

— Teraz pasoł won! Pilnuj!

Potykając się, wszedł do biblioteki.

IX.

Grodzkiego przebudziło głośne stuknięcie upadającego krzesła. Podniósł pochyloną głowę, rozglądając się po pokoju.

W mroku ciemności nocy dojrzał przy oknie sylwetkę jakiegoś człowieka, chwiejącą się jak cień jakiś. Wydawało mu się, że ze snu nagle zbudzony wzrok narzuca mu fantazyjne postacie, rzucone cieniem nocy.

Na krześle obok niego spała, głęboko oddychając, jego żona. Otulona w wełnianą, białą chustę, wyglądała niby śnieżna lawina.

Przetarł pospiesznie oczy, kierując w stronę cienia i coraz bardziej nabierał przekonania, że ktoś wszedł do pokoju. Dojrzał, że postać ta, z wyciągniętemi rękami zbliżała się ku kanapie, gdzie spały jego córki i pochyliła się nad kanapą. Grodzki zerwał się z krzesła i drżącym głosem zapytał:

— Któż to?

— Milczeć! — groźnym szeptem odparł praporszczyk, nachylając usta do głowy śpiącej Anielki.

Grodzki podbiegł do praporszczyka, pochwycił go za rękę, odpychając od córki.

— Pasoł won! — półgłosem krzyknął praporszczyk, usiłując uderzyć Grodzkiego ściśniętym kułakiem w twarz.

Przebudzona córka podniosła główkę do góry, wówczas pochwycił ją praporszczyk rękoma za szyję, przyciągając ku sobie.

Krzyknęła przerażona Anielka i stoczyła się bezwładnie na dywan, rozpostarty na podłodze, wtedy praporszczyk rzucił się na nią.

Grodzki pochwycił praporszczyka w pół, podczas gdy przebudzona żona i Zośka w trwodze rozbiegły się po pokoju.

— Pasoł won! — krzyknął praporszczyk, chwytając Grodzkiego pod gardło.

Tenże usiłował się wydobyć z żelaznych uścisków oficera, ale praporszczyk, silny jak niedźwiedź, górował nad posiwiałym starcem. Po długiej chwili zmagania udało się Grodzkiemu uwolnić z uścisku i odepchnąć silnie na pół przytomnego oficera.

Wtem niepostrzeżenie ktoś wszedł do pokoju. Nie zauważyli tego zajęci sobą przeciwnicy, ani mdlejące, skulone przy oknie niewiasty.

Był to oficer kozacki, który nie zapomniał zniewagi, doznanej od praporszczyka. Śledził on bacznie każde jego poruszenie na sali i skorzystał ze sposobności.

Nagle w pokoju rozległy się strzały rewolwerowe i postać jakaś szybko wybiegła z pokoju.

Strzały zaalarmowały ucztujących. Wbiegli do biblioteki na pół przytomni oficerowie i ordynansi ze świecami w dłoni.

W owym pokoju skuliły się trzy niewiasty, przed któremi stał Grodzki z potarganą siwą brodą, z pokrwawioną twarzą i poszarpanem ubraniem. — Postacią swoją zasłaniał żonę i córki przed wbiegłymi.

Przed kanapką, na której spały córki, w drgawkach śmiertelnych tarzało się ciało praporszczyka. Z czaszki jego, przeszytej kulami, sączyła się krew, usta zaś szeptały:

— Lach!

Sztabskapitan krzyknął:

— Buntowszczyk! Tyś zabił praporszczyka!

— Nie ja!

— Kto? — krzyknął groźnie sztabskapitan.

— Był tu jakiś oficer i strzelił!

— Kłamstwo!

— Bóg świadkiem!

— Rizat! — krzyknęły głosy zebranych.

— Brać ich!

— Rozstrzelać!

— He... he... — zaśmiał się sztabskapitan — a z pannicami, uf... ha... taniec...

Jeden z oficerów przysunął się ku Grodzkiej i chciał ją ująć za rękę. Mąż zwrócił się twarzą ku niemu i spojrzał mu złowrogo w oczy.

— Panowie! — doniosłym, drżącym głosem krzyknął Grodzki — Nie ja strzeliłem, ale też nie pozwolę na gwałt! Zabijcie nas, ale nie katujcie!

— Kozaki! — krzyknął sztabskapitan — Pohulajcie! Wot, praporszczyka ubił! Buntowszczyk!

— — — — — — — — — — — — —

Gdy wyszli z pokoju, Grodzki opatrzył obydwa rewolwery i stanął w wyczekującej postawie.

Wpadli kozacy i rozpoczęła się straszna rzeź bezbronnych... Siekano i rąbano szablami, goniąc po całym pokoju, strzelano i kłuto pikami ciała, znęcając się w straszliwy sposób nad pomordowanymi. Nie oszczędzono ani starej kucharki, ani nikogo z pozostałej służby.

Zmasakrowane ciała wrzucono w wykopany dół, zatratowując miejsce kopytami koni kozackich, przyczem zrabowano i zniszczono całkowicie urządzenie dworskie.

Ściany dworu porysowane od uderzeń szabel, poszczerbione od kul. Strzelano bowiem do rodziny Grodzkich w pokoju, jak do stada wilków lub dzikich gołębi.

— — — — — — — — — — — — —

Chłop ruski odniósł tryumf. Dopełniło się dzikie barbarzyństwo Wschodu, niosące Polsce „oswobodzenie".

— — — — — — — — — — — — —

Posmutniały stoi dwór. Pusty, ponury jak kostnica cmentarna. Stary — polski dwór!...

— — — — — — — — — — — — —

Losy wojny są zmienne.

Niedługo cofnęli się Moskale z Gałuzi, wkroczyły znów armie sprzymierzone wraz z Legionami, opierając się linią obronną na Styrze.

Nastały długie miesiące walk pozycyjnych na Wołyniu.

Gałuzia przechodziła na zmianę, raz pod wojska niemieckie, drugi raz węgierskie lub austryackie.

Opustoszały dwór służył jako kwatera pułku, brygady, zależnie od rozkładu sił wojennych.

Przeszła zima, srogie dni walk, później puściły wiosenne roztopy, po których nastąpić miało lato, a z niem ofenzywa rosyjska. Gałuzię, jak również wszystkie pobliskie linii bojowej wioski, z ludności cywilnej wyewakuowano. Opustoszała wieś z ludności cywilnej, kwatery zajęli żołnierze.

Dopiero w czerwcu 1916 roku, z początkiem ofenzywy rosyjskiej, przybyły Legiony powtórnie do Gałuzi.

To batalion drugiej brygady — dołączony chwilowo do węgierskiej armii.

Rozpoczęły się ciężkie dni uciążliwych walk; ofenzywa rosyjska, szereg miesięcy przygotowywana, rzuciła wszystkie siły na przełamanie frontu, rozgromienie armii sprzymierzonych.

I wówczas, gdzie największa potrzeba zaszła, zjawiały się Legiony, udaremniając zamiary rosyjskie.

Długie i ciężkie dni walk przyszły przez czerwiec i lipiec tegoż roku.

Linię rosyjską wzmocniono sześcioma dywizyami piechoty; przesunięci pospiesznie z pod Pińska, po udaremnieniu przełamania dalszego frontu pod Łuckiem, Moskale rzucili się na odcinek Legionu.

Siły rosyjskie były przeważające. Wybite ich pułki wciąż zastępowano świeżymi, podczas gdy żołnierz Legionu dniem i nocą musiał odpierać ataki wroga.

W bagnach czuwali żołnierze; dobywali ostatnich sił, aby dotrwać.

Był to okres największych walk Legionu.

Wyszli z niego zwycięsko, z małemi stratami i, mimo cofnięcia się do granicy Stochodu, straty rosyjskie były tak dotkliwe, że niema mowy o sukcesie rosyjskiego oręża, mimo uzyskania terenu, materyału wojennego i znacznej ilości jeńca.

Gałuzia była wówczas w rękach naszych, Wólka Gałuzińska w rękach Moskali. Pomiędzy wsiami rozciągała się linia wojenna.

Gdzieś na drodze (przed dworem) do Wólki Gałuzińskiej, czy też zaraz obok w ogrodzie warzywnym pochowane zostały ciała rodziny Grodzkich.

Tajemnicę tą posiadł stary dwór i ci, co „pochowali".

(Dokończenie nastąpi).

Z walk na morzu.

Od czasu wielkiej bitwy morskiej pod Skagerrakiem, gdzie flota angielska poważną poniosła porażkę, względny spokój panuje na morzach i oceanach — spokój o tyle, że prawie nie walczą ze sobą okręty wojenne. Pozatem jednak na morzach czuć wojnę bardziej może, niż na lądzie, bo w każdem niemal miejscu. Działania wojenne rozwijają przeważnie łodzie podwodne niemieckie i austro-węgierskie; dzień jeden nie upływa, aby ofiarą ich nie padło kilka okrętów handlowych nieprzyjacielskich, a czasem i neutralnych. W ten sposób panowanie Anglii i jej sprzymierzeńców nad morzami staje się zupełnie illuzorycznem — ani na morzu Śródziemnem, ani na Północnem, ani nawet u angielskich wybrzeży, nie może ona zapewnić swojej flocie handlowej bezpieczeństwa.

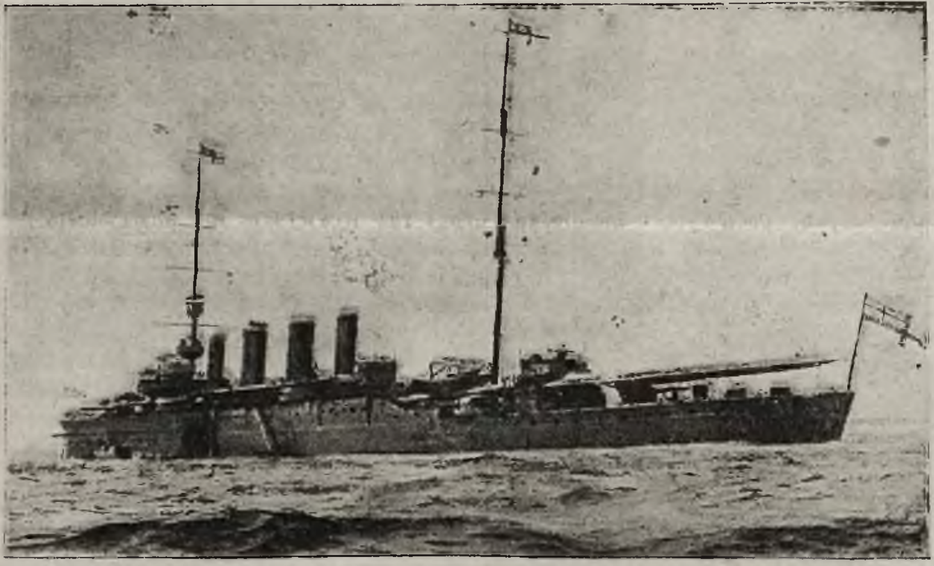
Oczywiście, flota bojowa angielska krąży mniejszymi i większymi oddziałami po morzach, „polując“ na łodzie podwodne niemieckie — ale tu właśnie najlepiej wykazuje się jej bezsilność, gdyż „myśliwe“ okręty zbyt często padają ofiarą „zwierzyny“. Niedawno właśnie zdarzył się fakt, że większa eskadra angielska stoczyła formalną bitwę niedaleko od angielskich wybrzeży z niemieckiemi łodziami podwodnemi, przyczem te nie poniosły żadnych strat, a z eskadry angielskiej zostały zatopione dwa bliźniacze krążowniki, o pojemności 5 000 ton każdy, z 380 ludźmi załogi. Doniesienie angielskiej admiralicyi, że przytem została zatopiona niemiecka łódź podwodna, okazało się — omyłką.



Z ruchu oświatowego w Królestwie Polskiem: 1. komendant obwodu pułkownik Kwiatkowski, 2 inspektor szkolny, kierownik kursu Peszkowski, 3. docent literatury polskiej Horodyski, 4 docent historyi i geografii Rzepa.

Z ruchu oświatowego w Królestwie Polskiem.

W poprzednim numerze „Nowości illustrowanych“ podaliśmy już szkic ogólny tego ruchu na



Z walk na morzu: Krążownik angielski „Nottingham“ zatopiony przez niemiecką łódź podwodną



Wojna z Rumunią: Obóz jednego z pułków w Siedmiogrodzie.

polu oświaty w Królestwie Polskiem, który teraz obserwować można, a który ostatnio znalazł wyraz w urządzeniu 12 kursów kształcących dla nauczycieli i donieśliśmy o kursach takich w Busku, Pińczowie i Olkuszu.

Jak w tych powiatach, tak również w Nowora-domsku odbyły się, urządzone przez generalne gubernatorstwo, kursy pedagogiczne, które trwały od 24 lipca do 19 sierpnia b. r., a w których wzięło udział sześćdziesięciu dwóch uczestników. — Kierownikiem kursów był p. Jan Skowroński, inspektor szkolny. Na kursach wykładano: język polski i literaturę, historyę i geografię Polski, pedagogię i hygienę, a wreszcie gry i zabawy ruchowe. Nadto przeprowadzano codziennie lekcye wzorowe ze wszystkich przedmiotów.

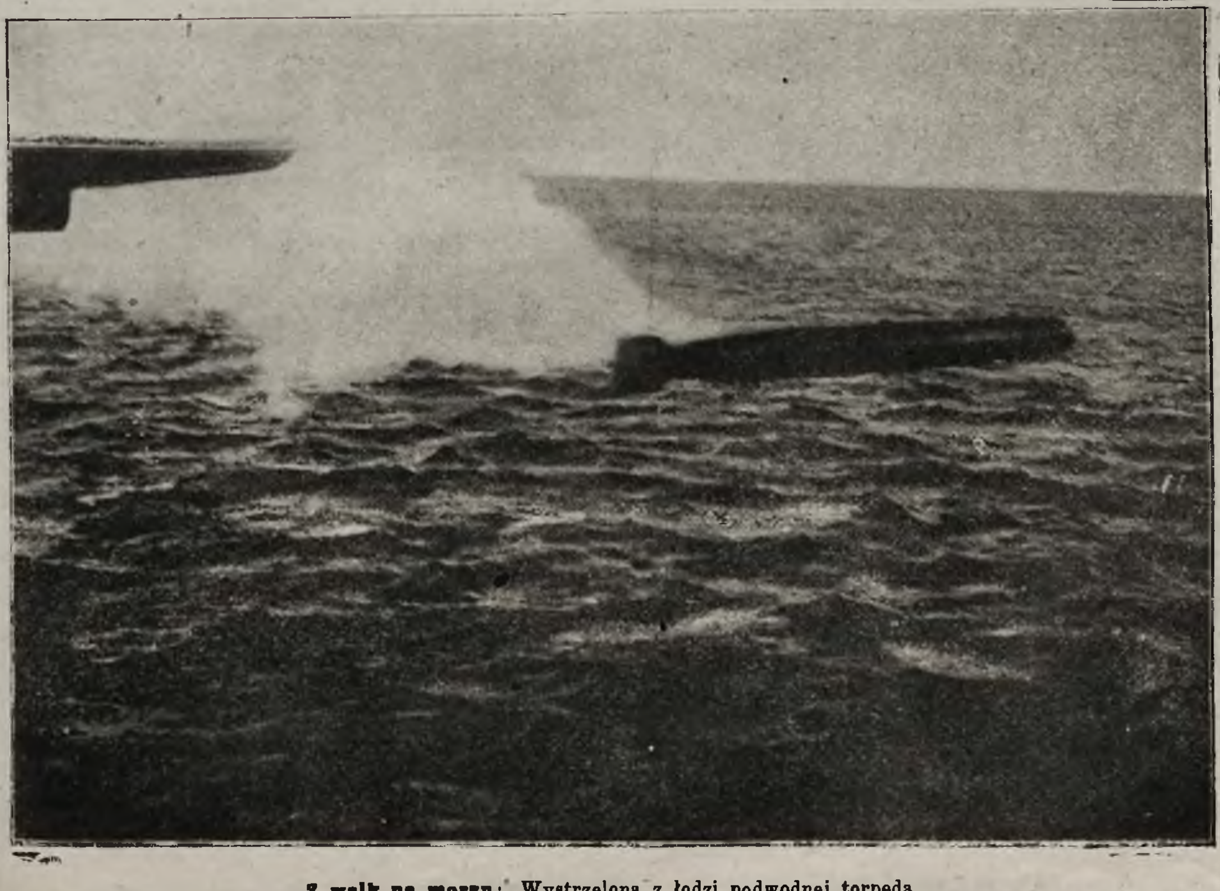
Na kursach wykładali: prof. Józef Dziuba, kierownik gimnazyum Stanisław Niemiec, kierownik miejscowej szkoły Władysław Matuszkiewicz i p. Cellary.

Zakończenie kursów nastąpiło w dniu 19-go sierpnia w obecności zastępcy komendanta obwodu majora Żurowskiego i starosty Leszczyńskiego.

Major Żurowski pożegnał nauczycielstwo w serdecznych słowach i wskazał na zadania, jakie ono ma do spełnienia wśród zaniedbanej pod względem oświatowym przez poprzedni rząd polskiej wsi. — Wkońcu jeden z nauczycieli, wręczając inspektorowi Skowrońskiemu adres z podpisami wszystkich kursistów, podziękował mu za zorganizowanie kursów i prosił o dalszą tak życzliwą, jak dotąd, opiekę nad nauczycielstwem.

Na podobne kursa w Zamościu zgłosiło się najwięcej kandydatów, tak, że kursa musiano tu podzielić na dwie grupy, z których jedną prowadzi inspektor szkolny Józef Ciembroniewicz z Lublina, drugą miejscowy inspektor Zenon Zaklika. Na kursa uczęszcza przeszło stu sześćdziesięciu kandydatów, a że równocześnie urządził także kurs i komitet ratunkowy dla pięćdziesięciu nauczycieli, przeszło dwustu nauczycieli zgromadziło się w Zamościu, aby uzupełnić swe wykształcenie zawodowe. Kandydaci i kandydatki znaleźli pomieszczenie w dwóch internatach, z których jeden jest przeznaczony dla mężczyzn, drugi dla kobiet.

Na kursie wre praca od rana do wieczora, kandydaci są bowiem zajęci siedm do ośmiu godzin



Z walk na morzu: Wystrzelona z łodzi podwodnej torpeda.



Z ruchu oświatowego w Królestwie Polskiem: Wykładający i uczestnicy kursu nauczycielskiego w Opocznie

dziennie, a oprócz nauki znaleźli jeszcze czas na to, aby dać znać o sobie Zamościanom wieczorkiem, na który złożyły się śpiewy chóralne, żywe obrazy i przedstawienie amatorskie „Łobzowian" i „Błażka opętanego". Czysty dochód z przedstawienia prze znaczony jest na ruchome biblioteki dla nauczycielstwa.

Serdeczną opieką otoczył kurs miejscowy komendant, pułkownik Fischer. — Przed kilku dniami zwiedził kurs dr. Maryan Reiter, generalny wizytator szkół na terenie okupowanym przez Austryę i z zadowoleniem zwrócił uwagę na serdeczny nastrój, jaki się na kursie wytworzył.

W Olkuszu kurs podobny zakończył się dnia 19 sierpnia. Otoczył go troskliwą opieką komendant obwodu, pułkownik Kwiatkowski; uczestnicy kursu mieli zapewnione odpowiednie lokale oraz stołowanie się. Kierował kursem i zarazem wykładał na nim pedagogię oraz specyalną metodykę inspektor szkolny Peszkowski, literaturę polską wykładał p. Horodyski, historyę i geografię p. Rzepa.

Kurs wakacyjny nauczycieli w Opocznie trwał od 24 lipca do 19 sierpnia b. r., wzięło w nim udział dwudziestu czterech uczestników i dwadzieścia trzy uczestniczki z różnych stron Królestwa Polskiego.

W zakres wykładów wchodziły: pedagogia, metodyka, lekcye praktyczne, język polski i gramatyka, geografia ziem polskich i historya polska, gimnastyka, gry i zabawy dla dziatwy szkolnej, rysunki według nowej metody, kooperatywa, wykład o roślinach leczniczych i o opiece nad małoletnimi i sierotami. — Kierował kursem miejscowy inspektor szkolny obwodowy, p. J. Pietrzykowski. Na załączonej fotografii uczestników kursu uwidocznieni są reprezentanci komendy obwodowej i wykładający: 1. A. Borkowski, Legionista, nauczyciel wydziałowy z Galicyi, 2. L. Rzeszowski, emerytowany nauczyciel wydziałowy z Galicyi, 3. H. Mieroszewski, komisarz rządowy miasta Opoczna, 4. J. Pietrzykowski, kierownik kursu, 5. T.



Sanatoryum dla Legionistów w Krynicy: Grupa oficerów legionowych, kom. szpitala i lekarze pod pomnikiem A. Mickiewicza w Krynicy. 1. Komendant nadpor. Eibenschütz, 2. major M. Żymirski, 3. nadpor. Góra, 4. dr. Rudzki.



Z ruchu oświatowego w Królestwie Polskiem: Wykładający i uczestnicy kursu nauczycielskiego w Nowo Radomsku.





Przed wyjazdem na pozycyę bojową. **Z walk Legionów:** Grupa oficerów sztabu w okopach.



Wojna światowa w rzeźbie: Autor rzeźby „Wojna światowa" w swojej pracowni.



Wojna światowa w rzeźbie: Rzeźba Chodzickiego z przodu.

Wiktor, pułkownik, komendant obwodu, 6. dr. T. Chmielarski, kierujący komisarz cywilny, 7. dr. Br. Kuśnierz, kierownik biura komercyalnego, 8. dr. S. Jaworski, kierownik oddziału podatkowego, 9. dr. K. Stieber, kierownik oddziału lasowego, 10. W. Zegestowski, sędzia powiatowy.

Sanatoryum dla Legionistów w Krynicy.

W uzupełnieniu artykułu, który wraz ze zdjęciami z sanatoryum dla Legionistów w Krynicy umieściliśmy w numerze 35 „Nowości Illustrowanych", zamieszczamy jeszcze, wraz z zdjęciem grupy kierowników zakładu, kilka słów wyjaśnienia. Powyższe sanatoryum jest filią szpitala obrony krajowej z Nowego Sącza, pozostającego pod komendą lekarza sztabowego, dra Sikorskiego. Filia krynicka mieści się w dwóch willach dr. Skórczewskiego, posiada trzysta łóżek, a znajduje się w niej obecnie na kuracyi około trzystu Legionistów-rekonwalescentów, w tem piętnastu oficerów. Rekonwalescenci ci, których zdrowie ciężko ucierpiało od trudów wojennych, dobrze się czują w zdrowem i czystem, balsamiczną wonią lasów szpilkowych przesyconem powietrzu Krynicy: również kąpiele tutejsze przywracają im nadwątlone siły. I chociaż dyscyplina wojskowa, nie pozwalająca na przechadzki poza obręb sanatoryum przed szóstą wieczorem, oraz nieco jednostajne pożywienie, utrudniają w pewnej mierze racyonalną kuracyę, to jednak wielu odzyskuje tu zdrowie. dzięki zwłaszcza troskliwej w każdym kierunku opiece komendantów szpitala, dra Rudzkiego i nadpor. Eibenschuetza.

Wzmiankowany w tekście numeru 35 „Nowości" zakład hr. Skarbkówny jest zakładem dla inwalidów c. i k. armii, pochodzących z Galicyi.

Odznaczenia pracowników technicznych.

Zarówno przy zwycięstwach orężnych mocarstw cetralnych w Galicyi, jak i przy przywracaniu nor-



Wojna światowa w rzeźbie: Grupa rzeźby Chodzickiego z profilu.





Odznaczenia pracowników technicznych: Inżynier (X) Bogdanowicz przypina trzeciemu z rzędu srebrny krzyż zasługi z koroną. Dekorowani: 1. Antoni Jankowski, 2 Dymitr Stus, 3 Cypryan Kopacz

Grupa uczestników uroczystości; w pośrodku siedzą naczelnik sekcyi i udekorowani.

malnych stosunków po wyparciu najazdu nieprzyjacielskiego, niemałą rolę odegrali, oprócz żołnierzy, także pracownicy techniczni wszelkich kategoryi; kolejarze, telegraficzni, pracownicy inżynieryjni wszelkich kategoryi i t. d. niejedną mieli w ciągu wojny sposobność do odznaczenia się, zarówno męstwem, jak sprawnością i dzielnością w spełnianiu swych trudnych a ważnych obowiązków. Wiele też odznaczeń wojennych otrzymali już pracownicy techniczni galicyjscy.

W dniu 20 go sierpnia w Nowym Sączu odbyła się skromna ale sympatyczna uroczystość dekoracyi kilku takich pracowników otrzymanemi odznaczeniami. Byli to werkmistrze tamtejszej sekcyi konserwacyi telegrafów i telefonów, panowie: Antoni Jankowski, Dymitr Stus i Cypryan Kopacz, którzy otrzymali srebrne krzyże zasługi z koroną, na wstędze medalów waleczności, za pełną poświęcenia i gorliwości służbę.

Przypięcia odznaczeń dokonał naczelnik sekcyi inżynier Bogdanowicz po stosownej przemowie, w której podniósł zasługi odznaczonych i ich owocną pracę.

Uroczystość zakończono wspólną fotografią. — Zamieszczone w naszem piśmie fotografie przedstawiają moment dekorowania oraz grupę uczestników uroczystości.



Psy policyjne w okupacyi austryackiej Królestwa Polskiego: Cwiczenia tresurowe psów na specyalnym kursie w Lublinie.

Psy policyjne w okupacyi austryackiej Królestwa Polskiego.

Bandytyzm wciąż grasujący w kraju skłonił lubelskie generał-gubernatorstwo wojskowe do zaprowadzenia w żandarmeryi na terenie okupowanym psów policyjnych i przybocznych.

Psy przyboczne służą patrolom poszczególnym podczas pełnienia służby ku ochronie przeciwko napadom zdradzieckim, podejmowanym przez bandytów uzbrojonych. Zaprowadzenie psów policyjnych wymaga większych przygotowań, oraz sporego nakładu pieniężnego, ponieważ do służby wywiadowczej nadają się dobrze ułożone i to niewielu ras. W kwietniu b. r. założono w Lublinie kurs, mający za zadanie wykształcenie na razie pięćdziesięciu czterech psów policyjnych, wraz z odnośnymi kierownikami do służby kryminalnej. Następnie ci kierownicy wraz z psami będą rozdzieleni pomiędzy obwody poszczególne, celem podjęcia swoich obowiązków. Nadto zbudowano specyalną psiarnię, by umożliwić hodowlę rządową psów policyjnych i powiększenie ich liczby w razie, gdy zajdzie tego potrzeba odpowiednia.

Już teraz dokończono tresury czterech najlepszych psów i przydzielono je zaraz do służby w obwodach Dąbrowa, Końsk, Lublin i Piotrków. Pod koniec sierpnia przyjść miało do rozdzielenia psów w znaczniejszej liczbie.



Wojna światowa w rzeźbie: Grupa Legionistów z rzeźby.



Psy policyjne w okupacyi austryackiej Królestwa Polskiego: Cwiczenia tresurowe psów na specyalnym kursie w Lublinie.

GEORGES MEIRS.

Tajemnica indyjskiego pierścienia.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

5

— Przeniesiemy tego biedaka, a gdy się obudzi, dowiemy się może coś od niego. — odparł Wiliam Tharps.

W tej chwili mimowoli przypomniałem sobie, że markiz da Santa Cruza był jedynym człowiekiem, który pozostał na górnych piętrach, podczas kiedy wszyscy skupili się na dole.

Zawsze on!

A więc z Ludoviciem Marmont mieliśmy znowu do czynienia. Uczułem w sobie dziwne zadowolenie na tę myśl. Walka z takim przeciwnikiem warta była zachodu i trudu.

Do tej pory wszelkie wysiłki policyi francuskiej i cudzoziemskiej okazały się bezskuteczne w pochwyceniu tego króla awanturników. Opowieści, jakie w ostatnich czasach powstały i krążyły koło tej dziwnej, intrygującej postaci, wzrastały coraz więcej, zabarwione fantastycznością najżywszą.

Ludovic Marmont nie był przeciętnym typem zbrodniarza. Był to wytworny światowiec o intelligentnym i rozbudzonym umyśle i urodzie delikatnej i subtelnej. Przyjmowany był w najlepszych domach i znany zarówno w świecie oficyalnym, jak i w buduarach modnych piękności ówczesnych. Tego samego wieczora spotkać go było można na wykwintnym salonie damy z arystokracyi, prowadzącego z ożywieniem i niebywałym wdziękiem kotyliona, a w parę godzin później zabawiającego się wesoło w towarzystwie niebezpiecznych apaszów w nędznej knajpie na najbardziej osławionej ulicy przedmieścia.

Zręczny i ostrożny, umiał zawsze wyślizgnąć się w porę, kiedy groziło mu jakie niebezpieczeństwo i tak umiał zacierać wszelki ślad za sobą, że odszukać i przychwycić go, było wprost niepodobieństwem.

Sprawy, któremi operował umiejętnie, nigdy nie były bezowocne, a jeżeli kiedy spotkał się z porażką, przyjmował ją z ironicznym uśmiechem, układając już plany przyszłego odwetu.

Banda Ludovica Marmont była znaną powszechnie i wszędzie szerzyła postrach i zniszczenie. Po sposobie dokonania jakiego morderstwa, śmiałej grabieży lub szantażu, poznawano „robotę“ tego nieprzezwyciężonego awanturnika. Jednakże mało osób znało go z powierzchowności.

Ludovic Marmont był mistrzem w artystycznem charakteryzowaniu się i umiejętnem zmienianiu swojej postaci.

Pomimo to udało się przecież redakcyom pism niektórych pochwycić jego fotografię, którą ukazywały, ilekroć nowa jaka sensacyjna zbrodnia lub kradzież wzburzyła umysły publiczności.

Fotografia ta przedstawiała młodego człowieka o rysach regularnych i sympatycznych i dużych, ciemnych oczach, błyszczących wyrazistością i intelligencyą. Usta małe, o rysunku bez zarostu, przybierały w uśmiechu wyraz nadzwyczaj pociągający, od słaniając dwa rzędy równych, białych zębów.

Ukazanie się fotografii Ludovica Marmont w dziennikach, przyczyniło się wiele do zbudzenia jego popularności.

W tym czasie, kiedy odwaga i zuchwałość były rzadkimi objawami, śmiały ten awanturnik nie mógł być banalną osobistością i sposób w jaki się zawsze przedstawiał publiczności, otoczył go aureolą bohaterstwa i ciekawości. Przez sposób, wykonania swoich zamachów, dokładność przeprowadzenia planów, niezachwianą pewność środków, którymi rozporządzał zawsze, wkońcu przez lekceważenie życia własnego i humor pogodny, łobuzerski, którym okraszał szatańską swoją działalność — stał się sympatycznym tłumom, żądnym sensacyi i wrażeń.

Zdarzało się również, że ten niebezpieczny awanturnik umiał się zdobyć w chwilach fantazyi, czy chwilowego sentymentalizmu, na czyn szlachetny i wyrozumiałość, które łagodziły poprzednie jego przewinienia.

Kiedy dzienniki z oburzeniem ogłaszały nowy podstęp Ludovica Marmont, nowy „kawał“, zrobiony policyi, cisi zwolennicy jego cieszyli się niewymownie. Przedstawiciele bowiem policyi są widziani niechętnem okiem wśród sfer pracujących wielkiego miasta, gdzie wolność i swoboda osobista stała się już potrzebą konieczną ich duszy. Raz, kiedy dzienniki podniosły, że Ludovic Marmont zamknął w swoim pokoju dwóch ajentów, którzy przybyli aresztować go, a trzeciego, oczekującego na schodach, wysłał na ratunek kolegów i sam, powolnym krokiem, uśmiechnięty, oddalił się i znowu na czas jakiś ukrył się przed okiem władzy — uczyniono mu na ulicy owacyę, wykrzykując radośnie jego imię.

Marmont zaś dbał o swoją popularność z zamiłowaniem aktora, który łaknie sławy i poklasków. Wiedział dobrze, czem tę publiczność wzruszyć, czem pobudzić do śmiechu i zadowolenia. Pewnego razu czyn niebywałej śmiałości został dokonany w Paryżu. Wózek bankowy, wiozący ośmkroć sto tysięcy fraków do filii swojej, został w biały dzień na najruchliwszej ulicy porwany i ukryty bez śladu. Stangret i dwóch służących, towarzyszących tej wysyłce, zostali odstawieni do swoich mieszkań w stanie zupełnej bezwładności i ogłupienia. Najmniejszej wskazówki nie było można od nich otrzymać. W tej sprawie, tak zręcznie przeprowadzonej, natychmiast upatrzono rękę Ludovica Marmont i już tego samego dnia, wieczorem, dzienniki podały do publicznej wiadomości, że policya jest już na śladzie przestępcy.

Jednakże nazajutrz nadeszła z Brukseli wiadomość od Ludovica Marmont, w której z gorzkiemi wymówkami zwracał się do ówczesnego dyrektora policyi, pana S., oznajmiając, iż wcale się nie przyczynił do owej kradzieży i gdyby ją był wykonał, to w sposób zręczniejszy jeszcze od nieznanych sobie kolegów. Wszystkie dzienniki otrzymały kopię tego sprostowania ku wielkiej uciesze czytającej publiczności.

Tego samego zaś dnia, w którym pojawiły się te publikacye, do biura dyrektora policyi, pana S., zgłosił się młody człowiek, przedstawił się jako detektyw amator i przyrzekł stanowczo odnalezienie owych skradzionych worków złota. Jakimi argumentami zdołał on przekonać szefa policyi i pozyskać jego zaufanie, tego niewiadomo. Stało się jednak rzeczą pewną i dowiedzioną, że pan S. wydał mu natychmiastowe pozwolenie działania i po upływie dwudziestu czterech godzin prawdziwi przestępcy pochwyceni zostali i wydani władzom.

Miejsce zaś, gdzie złoto było ukryte, zostało wskazane przez owego usłużnego, młodego człowieka, dla którego dyrektor policyi nie miał słów uznania i wdzięczności. Lecz kiedy do tego miejsca przybyli wysłani ajenci, znaleźli tylko kilka worków próżnych. Na jednym z worków przytwierdzony był list. Podpisany był przez Ludovica Marmont i zawierał jego fotografię.

W grzecznych, lekko ironicznych słowach dziękował on dyrektorowi policyi za pomoc, okazaną w odszukaniu skradzionych worków i ofiarowanie mu za te trudy tak poważnej sumy, bardzo mu chwilowo potrzebnej i w dowód wdzięczności załączał swoją podobiznę, prosząc o pamięć!

Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie wywołała ta niezwykła przesyłka.

Fotografia, ofiarowana tak zuchwale dyrektorowi policyi, została reprodukowaną w licznych egzemplarzach i zakomunikowaną prasie i wszystkim biurom komisaryatów miejscowych i zagranicznych. Lecz pomimo tak poważnego ułatwienia, danego przeciwnikom, zuchwały awanturnik pochwyconym nie został.

— — — — — — — — — — — —

Ten to niepokonany nieprzyjaciel, zręczny i przebiegły, wypłynął teraz w sprawie mordu i kradzieży, dokonanej w pensyonacie „Donay“.

Widok biletu z nazwiskiem Ludovica Marmont, przyczepionego do ubrania uśpionego ajenta, nie zadziwił zbytnio Wiliama Tharpsa. Był on do tego rodzaju sztuczek przyzwyczajony, Marmont nie działał nigdy skrycie i lubił zaznaczać swoje przejście, otwarcie występując do walki.

Domysły Wiliama Tharpsa sprawdzały się teraz. Śmierć młodego lokatora pani Donay, nienaturalne zniknięcie jego zwłok, następnie kradzież papierów profesora Schoetten, wszystko to wskazywało, że ma do czynienia z dobrze zorganizowaną i śmiałą bandą przestępców.

Wiedziano ogólnie, że Ludovic Marmont nie był człowiekiem angażującym się lekkomyślnie w sprawę, dającą mu małe korzyści i pewność, że on jest inicyatorem zamachu, dokonanego w pensyonacie „Donay“, kazała przypuszczać, że nie ograniczy się on do zabrania bezwartościowego pierścienia i notatek naukowych.

Dwa razy już od początku swojej działalności Wiliam Tharps spotykał się z Ludoviciem Marmont i pomimo niezwykłej swojej przezorności i zręczności, nie potrafił go ująć w swoje sieci.

Obecnie detektyw znajdował się w gabinecie swoim, gdzie już od trzech godzin blizko, paląc papierosy i przebiegając niecierpliwie pokój, zastanawiał się nad dalszym planem działania.

Nagle, jak gdyby poruszony jakąś dobrą myślą, podbiegł do aparatu telefonicznego mieszczącego się przy biurku i gorączkowo zadzwonił. Po chwili uzyskał połączenie z dyrekcyą policyi. Rozmowę podjął sam pan Dumont i ze słów mojego przyjaciela poznałem, że oczekuje jego przybycia.

Tego właśnie pragnął Wiliam Tharps. Odstąpił spiesznie od telefonu i zadzwonił na swojego służącego, Jima.

— Płaszcz podróżny i czapkę! — rozkazał krótko — A ty, Synhamie, towarzysz mi — dodał zwracając się do mnie.

Za chwilę, już ubrany w obszerny, ciemny płaszcz i czapkę, która zakrywała mu pół głowy, pociągnął mnie do wyjścia.

— Gdzież idziemy? — zapytałem, kiedy znaleźliśmy się na ulicy.

— Zaraz się przekonasz. Przedewszystkiem udamy się do twojego mieszkania, bo zabieram cię na całą noc ze sobą.

— Na całą noc? — zawołałem zdziwiony.

— Tak. Weźmiesz ze sobą płaszcz podobny i czapkę. Masz zapewne coś takiego w swojej garderobie?

— Mam.

— To doskonale.

Gwizdnął na przejeżdżającą dorożkę i w kilka minut później stanęliśmy przed domem, gdzie mieszkałem.

— Weź ze sobą broń, — rzekł Wiliam Tharps, kiedy wysiadałem z powozu — Może się przydać. Pospiesz się, ja tu czekać będę na ciebie.

Skinąłem głową i pobiegłem na schody.

Idąc za jego radą, zarzuciłem płaszcz na ramiona, na oczy nasunąłem czapkę i do kieszeni wsunąłem niewielki rewolwer, doskonałej marki „Werbley“.

Następnie oznajmiłem służącemu, żeby na mnie nie oczekiwano, gdyż powrócę dopiero nazajutrz.

— Czy pan zauważył telegram, który złożyłem na biurku w gabinecie? — rzekł służący, kiedy już wychodzić miałem.

— Nie! — odrzekłem — Kiedyż przyniesiono go?

— Przed godziną może. Czy mam go tu przynieść?

— Nie potrzeba.

Powróciłem do gabinetu i spiesznie rozerwałem papier.

— „Sprawa Lebrun-Montier — powracaj jutro“ — brzmiała treść depeszy.

— A, do dyabła! — mruknąłem, niezadowolony z tej niespodziewanej przeszkody.

Zajrzałem do księgi zapisków, zdziwiony, że nie uprzedzono mnie wcześniej o tym terminie.

Sprawa Lebrun-Montier był to proces cywilny, w którym objąłem zastępstwo bogatego fabrykanta z Lyonu. Wzywano mnie właśnie, abym tam się stawił nazajutrz.

Miałem wobec tego zaledwie czas przejrzeć dotyczące akta, przygotować ostateczną obronę i wyjechać pospiesznym pociągiem do Lyonu.

Byłem bardzo niezadowolony z tego obrotu rzeczy. Żal mi było opuszczać Wiliama Tharpsa na samym początku wyprawy, która mogła przedstawić wiele niebezpieczeństwa, skoro nakazał mi uzbroić się do niej.

A jednak nie mogłem odłożyć sprawy z Lyonu i zawieść mojego klienta. Był to człowiek znany, wpływowy i pragnąłem tryumfalnie poprowadzić obronę, wiedząc, że sukces ten nie będzie bez wpływu na dalszą moją karyerę prawniczą.

Nie było jednak wiele czasu na rozmyślanie. Zbiegłem ze schodów, aby uprzedzić mojego przyjaciela, że mu dalej towarzyszyć nie mogę i podałem mu otrzymany telegram. Przebiegł go powoli, lekko brwi marszcząc.

— Zaczyna się już! — rzekł, wzruszając ramionami — Ale trudno. Siadaj, pojedziesz ze mną kawałek, a potem zwrócę ci wolność, jeżeli tego żądasz koniecznie.

Przedstawiłem mu konieczność przejrzenia aktów, cokolwiek zaniedbanych.

— Będziesz jeszcze miał dosyć czasu na to! — odpowiedział mi stanowczo — Siadaj, Synhamie.

Musiałem wypełnić jego żądanie i wskoczyłem do powozu. Tharps rzucił dorożkarzowi adres, ale nie był to ten, którego się spodziewałem.

— Więc nie jedziemy do dyrekcyi policyi? — zapytałem go.

— Nie! — odpowiedział krótko.

W chwilę później zatrzymaliśmy się przed biurem pocztowem. Wiliam Tharps wyskoczył z powozu, a ja poszedłem za nim.

— Dowiemy się tu czegoś ciekawego! — rzekł do mnie, uśmiechając się.

— Tutaj?

— Tak, tutaj. Mam wrażenie, że chciano sobie zażartować z nas. Dajno mi tę depeszę.

Wyjąłem papier i podałem mu go, patrząc na niego ze zdziwieniem.

Przy okienku biura telegraficznego przekonałem się dopiero o znaczeniu słów Tharpsa. Przekonaliśmy się bowiem, że telegram wysłany do mnie z Lyonu był sfałszowany.

— Co to ma znaczyć? — zawołałem zdumiony.

— Byłbym się założył, że tak jest w rzeczywistości — odparł Tharps — Chciano się pozbyć ciebie i w tym celu próbowano wyciągnąć cię do Lyonu. Ludovic Marmont zaczyna działać. Przyznać trzeba, że nie traci czasu napróżno.

— No i cóż, Synhamie, jedziesz, czy zostajesz ze mną? — zapytał po chwili.

— Skoro ta depesza jest sfałszowana...

— Byłem o tem przekonany, zanim otrzymałem tutaj dowód prawdziwy. — rzekł Tharps, wzruszając ramionami — Popatrz uważnie na pieczątki.

— To prawda! — przyznałem, przyjrzawszy się dobrze papierowi. — Zdziwiłem się nawet, otrzymawszy to wezwanie, bo sprawa została przecież odłożoną, ale podpis wysyłającego telegram...

Wiliam Tharps spojrzał na mnie ironicznie.

— Naiwny jeszcze jesteś, mój kochany — oznajmił mi kategorycznie.

Roześmiałem się głośno.

— Nie wszystkim jest danem mieć bujny umysł i przenikliwość Wiliama Tharpsa — odciąłem żartobliwie.

— No i co będzie z tą podróżą?

— Zostaję oczywiście z tobą.

— Spodziewam się. Chodź, jedźmy teraz do policyi.

Pan Dumont oczekiwał już na nasze przybycie. Komisarz z Saint-Mandé zdał mu już raport o kradzieży papierów profesora Schoetten i pan Dumont również od pierwszej chwili był przekonania, że dwie te sprawy z pensyonatu „Donay", łączyły się ze sobą, nie mógł tylko odgadnąć ich przyczyny i celu.

Wiliam Tharps życzył sobie, aby policya poczyniła poszukiwania u niektórych osób, o których przypuszczał, że zawikłane są w sprawę i wymienił kilka nazwisk.

Zdziwiłem się, skąd mógł wiedzieć o istnieniu tych osób, gdyż ja te nazwiska słyszałem po raz pierwszy.

Szef policyi pragnął usilnie usłyszeć opinię mojego przyjaciela i naprowadzał go ciągle zręcznie na zwierzenia. Był on zdania — i na tym punkcie zgadzaliśmy się wszyscy najzupełniej, że przestępcy musieli mieć w pensyonacie oddanych sobie wspólników.

Uśmiechnąłem się mimowoli, przypomniawszy sobie to, cośmy z Tharpsem wiedzieli o markizie da Santa-Cruza, ale Tharps ani drgnął i nie zdradził się z niczem przed panem Dumont.

Fantastyczny sposób zniknięcia zwłok pana d'Orwalda zainteresował tego ostatniego najsilniej. Ciągle powracał do tego przedmiotu. Dlaczego ukradziono i wyniesiono zwłoki? Jaka przyczyna była tego źródłem? Czy może obawiano się, że szczegół jakiś, odkryty na ciele zamordowanej ofiary, mógł naprowadzić na ślad przestępcy? I w jaki sposób te zwłoki usunięto? Którędy przeszli wykonawcy tego śmiałego czynu, bo, według wszelkiego prawdopodobieństwa, tej czynności nie mógł dokonać tylko jeden człowiek?

Na wszystkie te pytania, któremi rozgorączkowany szef policyi zarzucał Tharpsa, tenże odpowiadał lekkim uśmiechem lub skinieniem głowy. Wkońcu, widząc, że nie dowie się nic ciekawego od niego, sam dalej monologował, zbijając i krytykując własne pytania. Wiliam Tharps od czasu do czasu rzucał słówko, które jak błyskawica rozjaśniało ciemności, w których błądził nieszczęśliwy pan Dumont.

W raporcie, posłanym mu przez pana Tancon, była wzmianka o pierścieniu d'Orwalda i o znaczeniu poważnem, jakie mu przyznawał Wiliam Tharps. Pan Dumont nie mógł lekceważyć sobie hypotezy sławnego detektywa, opartej zapewne na silnych podstawach, a fakt sekcyi, dokonanej na czwartym palcu ręki zamordowanego, wykazywał jasno, iż chciano za wszelką cenę wejść w posiadanie pierścienia, który w sposób naturalny z palca zesunąć się nie dał.

Szef policyi z pewnem zadowoleniem myślał, że cel morderstwa już został odkryty, ale, aby to zadowolenie wystąpiło w całej pełni, musiałby odkryć również tajemnicę zniknięcia zwłok, jakoteż sposób, w jaki to zniknięcie dokonane zostało.

Pan Dumont bezskutecznie po kilka razy powracał do tego drażniącego go pytania, sądząc, że przecież Wiliam Tharps objawi w tym kierunku swoje zdanie. Zdawało mu się, że już dopiął zamierzonego celu, kiedy nagle uśmiech, jaki pochwycił na jego twarzy, wytrącił go zupełnie z tej nadziei.

— Pan się śmieje, panie Tharps? Czy dowodzenia moje wydają się panu śmieszne? Musi pan widocznie być lepiej odemnie poinformowany?

— Być może — odparł Tharps wesoło — ale o tyle tylko, o ile powodować się mogę osobiście poczynionemi spostrzeżeniami. Pan był dzisiaj pierwszy na miejscu wypadku i mógł się pan przekonać, że nikt tam nie widział wchodzących lub wychodzących tajemniczych zbrodniarzy.

— Tak było rzeczywiście — odparł pan Dumont — i to się odnosi może do zniknięcia zwłok, lecz co do zbrodni, popełnionej w nocy...

— Ja zaś nie mówię o zniknięciu zwłok. Chcę tylko właśnie zwrócić panu uwagę, że od chwili, w której pokojowa odkryła zbrodnię, do następnego jej powrotu do pokoju upłynął czas bardzo ograniczony. Powróciła w asyście wszystkich gości z pensyonatu i wówczas to spostrzeżono zniknięcie zwłok.

Goście ci zeznali, że zauważyli ślady na łóżku i podłodze ze śniadania, wylanego przez wystraszoną dziewczynę, jakoteż odcisk ciała na prześcieradłach. Nic więc nie pozwala wątpić w prawdziwość zeznań pokojowej. Co do mnie, osobiście uważam, że słowa jej dyktowane były tylko szczerością i prawdą. Ogrodnik zaś, który podówczas pracował w ogrodzie, nie odkrył żadnych śladów kroków na ścieżkach i trawnikach, a tylko tamtędy mogli odejść zbrodniarze, wynosząc ciało.

— I to właśnie jest niezrozumiałe, nieprawdopodobne, wprost niemożliwe! — zawołał pan Dumont — Przecież ludzie, dźwigający ciężar tak znaczny, nie mogli z żaden sposób przejść niespostrzeżeni.

— Nie mogli również ciała wynieść głównem wejściem przez schody, gdyż schodami tymi przebiegali wszyscy mieszkańcy pensyonatu i służba.

Pan Dumont rozpaczliwym ruchem ręce rozłożył.

— Ta sytuacya nie da się w żaden sposób wyjaśnić. — rzekł stanowczo — Jedynem wyjściem z tego labiryntu jest przypuszczenie, że to się absolutnie stać nie mogło.

— Doskonale! Doskonale! — zawołał Tharps.

Spojrzeliśmy na niego, zdziwieni tym wykrzyknikiem.

— Co chcesz przez to powiedzieć, mój kochany? — zapytałem go — Wydajesz się być z czegoś zadowolony niezmiernie?

— Czy nie słyszałeś, co powiedział przed chwilą pan Dumont? — odparł Tharps, bystro patrząc na mnie.

— Owszem — ale...

Tharps zwrócił się teraz do pana Dumont i zapytał z przyciskiem i poważnie:

— Czy mogę pana prosić o powtórzenie ostatnio wyrzeczonych słów?

Pan Dumont był tak zaskoczony tem pytaniem, że mruknął coś niezrozumiałego i, coraz silniej zdziwiony, patrzył na Tharpsa.

— Powiedział pan przed chwilą — wymówił dobitnie detektyw — iż uprowadzenie zwłok zamordowanego nie da się w żaden sposób wytłumaczyć?

— Tak jest, przyznaję.

— I że jedynem wyjściem z tego labiryntu jest przypuszczenie, iż się to absolutnie stać nie mogło.

— No tak, ale to było tylko przypuszczenie.

Wiliam Tharps zerwał się z krzesła i stanął przed panem Dumont.

— To nie przypuszczenie, kochany panie! To rzeczywistość.

— Oh! Cóż pan chce przez to powiedzieć?

— Że zwłoki pana d'Orwalda nie opuściły progów pensyonatu. — wyrzekł stanowczo detektyw.

— Niech się pan dobrze zastanowi nad tą hypotezą. — dodał, opierając rękę na ramieniu dyrektora policyi — W niej bowiem mieści się cała prawda i rozwiązanie sprawy.

— To niemożliwe! Pan się myli.

— Niemożliwość bywa często podstawą rzeczywistości, panie Dumont! Niech pan o tem nie zapomina.

Nie czekając na dalsze przeczenia dyrektora, Wiliam Tharps wyszedł z gabinetu, pociągając mnie za sobą.

— Będzie miał biedak nad czem teraz głowę so bie łamać. — rzekł do mnie, uśmiechając się z zadowoleniem — Taka gimnastyka mózgu przydałaby się niejednemu naszemu urzędnikowi policyjnemu.

Pan Dumont zaś pozostał sam, rozmyślając poważnie nad znaczeniem ostatnich słów Tharpsa. Nie był pewny, czy detektyw nie zażartował sobie z niego, chcąc w ten sposób uwolnić się od jego natarczywych pytań i nie zdradzić właściwego przekonania o sprawie.

Nocny napad.

Przy wieczornej herbacie w pensyonacie „Donay", panowało dnia tego ożywienie niezwykłe, w przeciwieństwie do śniadania odbytego w ciężkiem milczeniu i niepokoju umysłów.

Rozstrojone nerwy zebranych, szukały jakiegoś ujścia w gorączkowem wypowiadaniu się z wrażeń przeżytych, krytykując i omawiając wypadki dnia i pocieszając się wzajemnie.

Panie drżały na myśl o zbliżającej się nocy, nadającej tragiczniejszy jeszcze odcień wspomnieniu dokonanej zbrodni i skupione w kącie wielkiego salonu, szeptały trwożnie, bezwiednie spoglądając ku drzwiom, w przeczuciu nowego jakiegoś nieszczęścia.

Wszystkich zaś bez wyjątku objęła niewytłumaczona nieufność. Panowie spoglądali na siebie niechętnie szukając między sobą wspólnika mordercy, bo według przekonania ogólnego, wspólnik ten istnieć musiał i ukrywał się pomiędzy gośćmi pani Donay.

Znalezienie walizy profesora Schoettena w pokoju Julki, nie stanowiło jeszcze dowodu jej wspólnictwa, a w każdym razie nie wyjaśniało przyczyny wstrząsających wypadków dnia.

Pułkownik Ricotte, kilku zręcznie wypowiedzianemi słowami, sprowadził nastrój ogólny na spokojniejsze tory. Starał się ułagodzić niechęć i przestrach niektórych lokatorów, którzy zdenerwowani i drżący o własne niebezpieczeństwo, zamyślali jaknajspieszniej opuścić pensyonat, oddziałują w ten sposób niekorzystnie na resztę pozostałych.

Profesor Schoetten zasunięty w głęboki fotel rozpaczał bez przerwy nad stratą drogocennych papierów i narzekał na niedbałość i opieszałość władz policyjnych. A kiedy pułkownik Ricotte chcąc go wprowadzić w dobry humor i wzmocnić odwagę obecnych, wspomniał o obecności ajentów pozostałych na rozkaz dyrektora w pensyonacie, profesor Schoetten roześmiał się ironicznie i odparł:

— Czy sądzi pan, że to nas uchroni od dalszych zamachów i opieki tych tajemniczych bandytów? Przecież ukradziono mi papiery podczas śledztwa odbytego w pensyonacie, w chwili, kiedy wszystkie drzwi i przejścia były strzeżone!

Pułkownik Ricotte nie znalazł na zarzut ten żadnej odpowiedzi, lecz zauważyłem, że dotknął niemile markiza da Santa Cruza. Podniósł się z krzesła i zaczął niecierpliwie przebiegać pokój, narzekając na służbę i twierdząc, że ona tylko jest powodem całego zajścia. Ruchy miał niespokojne i nienaturalne i bystry obserwator byłby odgadł pod tem nagłem, sztucznem ożywieniem, ukrywane pomięszanie i niepokój.

Kilkakrotnie zbliżył się do okna i korzystając z uchylenia okiennic, wpatrywał się uporczywie w ciemność zalegającą ogród. Za każdym razem jakgdyby zawiedziony odchodził czyniąc ruch zniecierpliwienia. Poznałem, że oczekuje kogoś i, że bezcelowość tego oczekiwania drażni go.

Ten powtórzony kilkakrotnie manewr, stał się wkrótce tak widocznym, że zwrócił uwagę profesora, który zaczął mu się przypatrywać z zainteresowaniem.

Staruszek lekceważąc sobie zabiegi policyi i pogardliwie traktując jej usiłowania, nie chciał nikomu powierzyć kierunku śledztwa i postanowił sam odszukać złodzieja, któremu zawdzięczał tak dotkliwą stratę.

Metodyczne zastanowianie się nad genezą sprawy, naprowadziło go na pewność, że wspólnictwo pomiędzy gośćmi z pensyonatu a zbrodniarzem istnieje i pragnął nić zawiązanej intrygi, jaknajprędzej pochwycić w rękę.

Uzbrojony w wielkie niebieskie okulary, badał każdego z gości pani Donay, przeszywając ich bystrem i przenikliwem spojrzeniem.

Wzrastająca nerwowość Hiszpana zastanowiła go i usiadł w ten sposób, aby nie stracić żadnego ruchu.

Po chwili jednak powstał i miarowym krokiem skierował się do okna, badając z kolei ogród oto lony w ciemność coraz nieprzenikliwszą.

Dręczyła go silna ciekawość poznania przyczyny niepokoju markiza da Santa-Cruza i twarz jego przybierała dziwnie natężony i skupiony wyraz, podczas kiedy napróżno spojrzenie jego ogarniało ledwo zarysowujące się ścieżki i trawniki ogrodu.

Już od dłuższej chwili samowar znajdujący się na małym stoliku na boku, syczeć przestał i filiżanki opróżnione stały przed gośćmi, a jednak towarzystwo całe nie zdradzało ochoty powstania od stołu.

W pewnej chwili markiz, który raz jeszcze podszedł był do okna pożegnał nagle zebranych, tłumacząc się silnym bólem głowy i koniecznością zaczerpnięcia świeżego powietrza.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

„Wojna światowa w rzeźbie.

(Do illustracyi na str. 9).

Śmiały pomysł — przedstawienia obecnej wojny w jednem dziele sztuki — podjął polski rzeźbiarz, obecnie służący w armii, a przebywający na kuracyi w Tobelbadzie, p. Jan Chodzicki; podjął i wykonał. Oczywiście mógł ująć tu wojnę tylko z jednej strony; wybrał przedstawienie ze strony militarnej, którą zobrazował w wielkiej grupie rzeźby, z wielką zręcznością kompozycyi.

Całość jej przedstawia się imponująco. W pierwszym rzędzie po stronie prawej żołnierze austryaccy ze wszystkich rodzajów broni i polscy Legioniści z ich sztandarami (polskość śmiało podkreślona) walczą na bagnety z Rosyanami, Serbami, Włochami, Anglikami, Francuzami i wojskami egzotycznemi. Koło moździerza 30·5 cm., karabinów maszynowych i polowych armat wre praca obsługi, zaś konnica austryacka i węgierska zrywa się do biegu. Po stronie lewej walczą wraz z żołnierzami austryackimi Niemcy w szturmie na bagnety. Walka na Gallipoli jest również przedstawiona. Widzi się oto Turka, który proklamuje wojnę świętą. Drugi znów dzierży w dłoni symboliczny klucz do Dardaneli, będąc równocześnie chroniony przez austryackich i niemieckich marynarzy. Dalej przedstawione jest zdobycie chorągwi rosyjskich przez żołnierzy austryackich i czynności sanitaryuszy w ogniu i szpitalu polowym. W okopach zaś wre walka zacięta na bagnety. W tyle znów widnieje wysoko wzniesiony pomnik cesarza. Pomnik wznosi się na terasie; na stopniach terasy stoi rycerz w zbroi, zaś jeszcze niżej wychodźcy polscy, nędzarze przez wojnę, błagający pomocy i ochrony u Tronu.

P. Chodzicki ofiarował grupę Cesarzowi, który pracę przyjął do Muzeum dworskiego i ofiarował artyście, jako zwrot kosztów, tysiąc pięćset koron. Galicyjski Wydział Krajowy w uznaniu artystycznej i pamiątkowej wartości pracy, uznanej także przez niemiecką krytykę, również przyznał artyście tysiąc koron. Dzieło to niewątpliwie będzie ciekawą pamiątką wydarzeń, które obecnie świat przeżywa, a tem godniejsze jest uwagi, że pomysł i wykonanie jego podjął Polak.



Z ruchu oświatowego w Królestwie Polskiem: Uczestnicy kursów nauczycielskich w Zamościu.



Kościuszko na filmie w Krakowie: Jeden z momentów przedstawienia na Rynku.

Kronika tygodniowa.

Poprzednia kronika wyglądała trochę dziwnie, dlaczego zaś, zaraz wytłumaczę. Według redakcyjnego podziału pracy, kronikarz ostatnie wiadomości, które do rąk Czytających dostają się dopiero we czwartek, przenosi z kałamarza na papier już w poniedziałek rano, nic więc dziwnego, że na początku kroniki pisałem ciągle, iż Bratianu myśli, ale wymyślić nic nie może, gdy tymczasem on już dawno powziął był postanowienie, ale w Krakowie dowiedzieliśmy się o tem już poniewczasie, wobec czego jedynie w zakończeniu mogłem pomyłkę swą sprostować. I tem właśnie tłumaczy się, że tak rzadko poruszam politykę. Mam krótki wzrok, na większą odległość więc nie dowidzę, a odgrzewać starych wiadomości nie mam ochoty, zwłaszcza, że znają je Czytelnicy z pism codziennych.

Panu Bratianu i Rumunii należy się przecież honorowa wzmianka, gdyż wobec Austryi postąpili sobie wcale niehonorowo.

W ubiegłą niedzielę, dnia 27 sierpnia, miała się w Bukareszcie odbyć wielka rada koronna pod przewodnictwem samego króla jegomości. Powziąć miano ostateczne decyzye, z góry już uplanowane i, jak się potem okazało, przez koalicyę zaaprobowane. Politycy rumuńscy byli jednak zdania, że przedpołudnie do tego się nie nadaje, wynik narady trzeba bowiem podać do publicznej wiadomości, a rozchodzi się właśnie o to, by się to mogło stać jak najpóźniej. Radę koronną odroczono więc na popołudnie, a tymczasem król zapewniał posła austryackiego i niemieckiego, że nie myśli wcale o wojnie, owszem zdecydował się zachować neutralność, z którą Rumunii jest bardzo do twarzy i dobrze jej to robi na kieszeń. Tego samego zdania był i pan Bratianu.

Po obiedzie zmienili jednak zdanie i przyszli do przekonania, że Rumunia na tem lepiej wyjdzie, jeśli Austryi wypowie wojnę, odwdzięczy się jej w ten sposób za wszystkie dobrodziejstwa, jakich od niej doznała. A jest ich cały legion.

Do niedzieli wieczór byli też wszyscy politycy pewni, między innymi i ja także, że sytuacya polityczna się w tym odcinku nie zmieni, tymczasem już o godzinie dziewiątej wieczór zjawił się w minister stwie spraw zagranicznych rumuński poseł i wręczył formalne wypowiedzenie wojny. Dlaczego wybrał porę nocną, różnie to tłumaczą, ja jednak sądzę, że dlatego, gdyż wstydził się, iż musi przyłożyć rękę do takiego ordynarnego łajdactwa. Pokazuje się też, że w chwili, gdy król rumuński i pan Bratianu zapewniali posłów mocarstw centralnych o swem pokojowem usposobieniu, poseł rumuński w Wiedniu miał już w kieszeni akt wypowiedzenia wojny i zaczął na gwałt pakować swe kufry.

I to się nazywa uczciwość polityczna.

Rzecz prosta, że także i owo wypowiedzenie wojny odpowiednio jest wystylizowane i wylicza tyle krzywd. jakich Rumunia doznała z naszej strony, że dziwić się tylko trzeba, iż tak długo siedziała cicho. (Dopóki nie wysprzedała swej zbytecznej mąki i nie wytargowała od koalicyi jak najkorzystniejszych dla siebie warunków).

Mamy więc znowu o kilka wojen więcej, równocześnie bowiem wypowiedziały wojnę Rumunii Niemcy, Turcya i Bułgarya. Kto wie, czy król Ferdynand nie przypomni sobie teraz, że jest Hohenzollernem, o czem chwilowo zapomniał. Zdaje się jednak, że on jest zwolennikiem polityki realnej, to jest, że gotów jest do świadczenia usług najwięcej dającemu, lub choćby tylko obiecującemu. Czy jednak wyjdzie na tem dobrze on sam i jego przybrana ojczyzna, przyszłość pokaże.

Wobec wmieszania się Rumunii, które, jak już poprzednio wspominałem, może się łatwo przyczynić do przechylenia się równowagi na tę lub ową stronę, spodziewamy się też rychłego rozwiązania europejskiej awantury, choć znów źródła angielskie obiecują to dopiero na rok 1918.

Gdy się moja połowica Weronisia dowiedziała o rumuńskiej zdradzie, tak sobie to wzięła do serca, iż ostatnie dwa kilogramy rumuńskiej mąki, która już porządnie zatęchła, wyrzuciła na śmieci i miała z tego powodu awanturę prawdziwie bałkańską ze stróżką, a potem oświadczyła, że ja jestem temu winien, zbyt mało bowiem zajmowałem się dotąd w kronikach Rumunią. Przyznałem jej racyę. gdyż inaczej zrobić nie mogłem. choć nie ja jej, ale ona mnie przysięgała posłuszeństwo.

Ale dziś wszystko na świecie dzieje się na opak.

Wogóle wystąpienie Rumunii narobiło dużo hałasu, wobec czego jeden z mych znajomych przerwał nawet na kilka dni kuracyę maryenbadzką, choć dopiero, jak sam powiada, stracił sześć kilo żywej wagi. Jest jednak przekonany, że teraz będzie się kłopotać, co dalej nastąpi i skutkiego tego schudnie bez używania wody mineralnej (która także zdrożała), spacerów (nie są wskazane ze względu na coraz droższe buty) i kąpieli.

Decyzya Rumunii jest nam już znana, klina w głowę zabiła nam natomiast Grecya. Dziś, to jest w poniedziałek, nie wiemy jeszcze, jaką obierze drogę, to jedno ma być pewnem, że król Konstantyn abdykował, rządy zaś ma objąć następca tronu, zdeklarowany zwolennik koalicyi. Może sobie zresztą być nim, albo i nie być, koalicya w Grecyi rządzi się niczem szara gęś i uważa kraj za swą prowincyę. — Do czwartku jeszcze daleko, grecką sprawę musimy więc odłożyć na następny tydzień, tymczasem sytuacya może się przecież jakoś wyklaruje.

Coś tam przebąkują tu i ówdzie o Holandyi i Danii, jakoby i one miały się ochotę pod presyą koalicyi wmieszać w wir ogólny, ja przecież w to nie wierzę, owszem, jestem prawie przekonany, że racyę miał ten polityk, który ongiś powiedział, iż tak, jak się obecna wojna zaczęła na Bałkanie, tak też i tam się rozstrzygnie, co, oby się stało, bo to dość od nas daleko, a my już mieliśmy sposobność doświadczenia przyjemności wojennych na własnej skórze i bardzo chętnie odstępujemy teraz pierwszeństwo komu innemu.

Jak na dziś, dość już polityki, resztę trzeba schować na później, a zająć się raczej tem, co nam bezpośrednio dolega.

Ponieważ uczeni orzekli, że żołądek jest najważniejszą częścią ciała ludzkiego i dlatego też dbać o niego należy, zaczynam i ja od żołądka, właściwie zaś od nowego urzędowego postu, który tylko weń godzi.

Według ogłoszeń urzędowych będzie teraz każdy obywatel, płacący podatki i nie płacący ich, obowiązanym, jeśli chce być zbawionym, do wstrzymania się od używania wszelakiego ścierwa przez trzy dni w tygodniu, to jest w poniedziałek (*blaumontag* i tak się więc niema wtedy apetytu), środę i piątek. W poniedziałek wolno jednak jeść baraninę, kogo stać na to, by sobie kupił. Czy obok tego pozostanie jeszcze dzień beztłuszczowy w sobotę, tego nie wiem, ale się staram o informacye, nie chciałbym bowiem, jako lojalny obywatel, dawać innym zły przykład. Bez mięsa ostatecznie obyć się można, zwłaszcza, że niektórzy krakowscy piekarze, jak o tem donosiły pisma codzienne, wypiekają bardzo pożywny chleb z mięsnym dodatkiem (karakony, stonogi i t. d.... podobno oryginalne rumuńskie), dla jaroszów zaś z łupinami ze ziemniaków, słomą i trzaskami (dodatki wyłącznie roślinnego pochodzenia).

Obok tego zaczną już niebawem funkcyonować wojenne kuchnie magistrackie, zostające pod kierunkiem ludzi fachowych, wyszkolonych przy dzieleniu kiełbasy wyborczej, z głodu więc śmiać się możemy. Gorzej jednak z pragnieniem, którego nie będzie czem gasić, zwłaszcza, że magistrat zalecił oszczędne obchodzenie się z wodą bielańską, a piwo od wczoraj zdrożało. Zrobili na tem doskonały interes znowu tylko restauratorzy, dla zaokrąglenia podnieśli bowiem ceny w ten sposób, że nowy podatek odbijają w zupełności, a nadto na każdej bombeczce mają jeszcze coś po cztery halerze zarobku.

Ale teraz ciężkie czasy i oni muszą też o sobie pamiętać.

W zamian za to obdarzono nas natomiast kartami tłuszczowemi, które od 15 września upoważniają każdego do pobierania pewnej, ściśle oznaczonej ilości tłuszczu — o ile *nota bene* będzie go można dostać, nasi bowiem panowie producenci chowają go na czarną godzinę, to jest na tą chwilę, kiedy znów zdrożeje. Pozwolono zresztą tłuszcze wywozić za granicę kraju, co musi się także odbić i na naszych żołądkach.

Do jakich zaś cen już doszły, o tem przekonałem się sam. — Z ciekawości zapytałem wieśniaka, pędzącego z targu do domu bardzo sympatycznego prosiaczka, ile też zań zapłacił, a on odpowiedział:

— A dyć, panocku, pięćdziesiąt cztery reńskie!

Złapałem się za głowę, okaz był bowiem niewiele większy od dorosłego kota. Gdyby dawniej zażądano za takiego paskudnika pięć guldenów, wyśmianoby sprzedającego. Nic też dziwnego, że świnia choruje teraz na manię wielkości, podobnie jak kury, które albo nie znoszą jaj, a jeśli już znoszą, to nie większe od gołębich.

I żyj tu teraz w takich warunkach! Nie dasz rady, bracie kochany, choćbyś miał i dwadzieścia dwa tysiące koronek pensyi lub emerytury. A takich szczęśliwców mało przecież między nami. Wiem z doświadczenia własnego, jak trudno w zarządzie domowym związać koniec z końcem, choć kazałem mojej Weronisi nauczyć się na pamięć przykazań dla kobiet (wydane gdzieś w Niemczech) i oszczędność budżetową doprowadzić do ostateczności. Robimy obydwoje w tym kierunku, co się da, ale nam idzie, jak po grudzie!

Doszło do tego, że moja połowica, zniechęcona już do wszystkiego, oświadczyła gotowość wyjazdu do Meksyku, aby się tam zaciągnąć do armii amazonek, przeznaczonej do obrony kraju na wypadek napadu Stanów Zjednoczonych. Ma ich być już około dwudziestu tysięcy. kompletnie uzbrojonych i tylko przed niemi stchórzył pan Wilson.

Ja byłem innego zdania, doradzałem też mej lepszej połowie, aby raczej starała się tutaj coś podobnego zaprowadzić, na tem wyszedłbym ja najlepiej, jako bowiem rodzony mąż żony, służącej w armii, pobierałbym zapomogę rządową, choć bardzo chętnie zrzekłbym się jej (zapomogi, nie Weroniki!...). ale pod warunkiem, że się wojna skończy. ale zaraz, to jest jeszcze w tym roku.

Gdy sobie tak uprzytomnię, ile teraz mamy stron walczących, żal mi się robi biednych studentów, którzy kiedyś będą musieli odpowiadać na pytania tego rodzaju:

— Kto i z kim walczył w roku 1914, 1915 i 1916?

— Ile państw tworzyło trójprzymierze?

— Które państwa należały do czwórporozumienia?

Będą to orzechy trudne do zgryzienia, trudniejsze od problemów, jakie mieli do rozwiązania ich ojcowie, których ongiś pytano: „Jak długo trwała wojna trzydziestoletnia?"...

A mapa świata, jak się zmieni! Ile to dwójek będzie z geografii, zanim się uda wbić w głowę niejednego nieuka, dajmy na to, nowy podział polityczny lądu europejskiego, na którym naprożno będziesz szukał niejednego państewka. Ot, król Mikołaj Czarnogórski, już teraz szuka, a znaleźć nie może, wyjechał więc w towarzystwie ministrów do swego włoskiego zięcia, by się go zapytać, czy przypadkiem nie wie co o jego zgubie, no i przy tej sposobności poprosić o jaką zapomogę na stare lata, bo nie wszędzie dają jednakowo wysokie emerytury honorowe i tym podobne zaopatrzenia. Martwię się też brakiem wiadomości od króla serbskiego Piotra, z którym utrzymywałem zawsze bardzo przyjacielskie stosunki. Przycupnął gdzieś, niczem zając w trawie i czeka, czy koalicya zlepi mu tę wielką Serbię z dwoma portami na Adryatyku. Uprzedzając wypadki, postarał się już o jeden torpedowiec, który ma tworzyć zaczątek przyszłej wojennej floty serbskiej.

Wobec tych wszystkich zmian, jakie muszą nastąpić po wojnie, jakkolwiek ona się skończy, jestem ogromnie zadowolony, że tego wszystkiego uczyć się już nie potrzebuję, co zaś najważniejsza, iż, nie mając dzieci w wieku szkolnym, nie będę też zmuszony do kupowania dla nich co roku nowych książek, wydawanych w miarę świeżych badań i odkryć. Przed wojną było tak, nie ulega więc kwestyi, że i po wojnie nie będzie inaczej, wydawców podręczników, którzy chcieliby coś zarobić, nigdy chyba nie zbraknie.

Przypadkowo zupełnie wpadła mi do rąk notatka dziennikarska, donosząca, że znany angielski powieściopisarz, pan Wells, zamieścił niedawno w jednem z pism petersburskich ciekawy i bardzo aktualny artykuł na temat, jaki będzie przyszły pokój, jak i kiedy do niego przyjdzie. Jego zdaniem, wojna doszła już do martwego punktu, przewidzianego przez Blocha, koniec jej jest więc możliwy jedynie jako wynik układów między przeciwnikami, wyczerpanymi już najzupełniej ze sił i zamkniętymi w swych okopach. Myśl, że zwycięzca wkroczy z tryumfem do stolicy zwyciężonego (już jeneret Rennenkampf wybierał się do Berlina na kawę, ale pomylił drogę!...) jak to bywało dawniej, za starych lepszych czasów, dziś musi się wykluczyć.

Szkoda tylko, że pan Wells posiada zbyt wiele fantazyi, mimo to uwagi jego są tak trafne, iż w następnej kronice poświęcę im więcej miejsca, którego tutaj, na samym ogonie, już nie znalazłem.

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.

Ułożył Marchewka z Jarosławia.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą rozwiązanie.

— awa
— mar
— oga
— gor
- zaw
- isa
- ino
— zor
— ora
— mur
— era
— ard
— ran

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Szewc nosił z Sącza koty pazia bonie Janiny.

Logogryf.

Ułożył Horowitz, Stanisławów.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwę jednej ze stolic europejskich.

□	□	□	□	□	□
□	—	—	—	—	—
□	—	—	—	—	—
□	—	—	—	—	—
□	—	—	—	—	—
□	—	—	—	—	—

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Imię męskie. 3. Francuski poeta. 4 Święte miasto w Azyi 5. Jedno z królestw europejskich 6 Admirał angielski.

Szarada.

Ułożył S. K. Gerzaldi, Kraków.

Pierwsza i druga zwykle za złe czyny czeka,
Wspak napój, przynoszący szkodę dla człowieka,
Druga i czwarte częste w polu u żołnierzy,
Drugiej, trzeciej i czwartej pobożny żyd wierzy.
Wszystko zaś niebezpieczne rzeczy, bardzo znane,
Dla bezpieczeństwa jednak wszędzie używane

Okienko.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Podane litery w ten sposób uporządkować, aby powstały trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a	a	a	a	a	a	a
c			c			d
d			e			e
n	n	n	n	n	n	n
n			r			r
s			u			u
y	y	z	z	z	z	z

Znaczenie wyrazów: 1. Ryba. 2 Wehikuł 3. Imię żeńskie

Przysłowiówka.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z każdego przysłowia wyjąć po jednej literze, idąc siedm razy z góry na dół i ułożyć z nich znane polskie przysłowie

1. Jak Pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści.
2. Na to kowal ma kleszcze, aby go w ręce nie parzyło.
3. Życie krótkie, sztuka długa.
4. Koń ma cztery nogi, a potyka się.
5. Kto chce wygrać gąsiora, musi ważyć kaczora.

Trójkąt magiczny.

Ułożył Z Szymanek, Nowy Sącz.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko i pierwszą literę imienia polskiego malarza-Legionisty

□	□	□	□	□	□	□	□	□	□	□	□
□	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	
□	—	—	—	—	—	—	—	—	—		
□	—	—	—	—	—	—	—	—			
□	—	—	—	—	—	—	—				
□	—	—	—	—	—	—					
□	—	—	—	—	—						
□	—	—	—	—							
□	—	—	—								
□	—	—									
□	—										
□											

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz 2. Ptak drapieżny (dwa wyrazy). 3. Robak 4 Gatunek wina. 5. Więzień. 6 Imię męskie. 7 Skorupisk. 8 Zwierzę drapieżne. 9 Naczynie 10 Gatunek tytoniu 11. Rodzaj gleby. 12 Spółgłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył X Nilik, Kraków

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Och, wic! Wir bierze gada!

Zadanie do przestawienia.

Ułożył X. Nilik, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Eli Poco te gody na bal?

Bilety wizytowe.

Ułożył J. Przecławski, Podgórze.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

Y. LECH

AZORSKI

OZOWSKY

S KOPERNIK
Olsztyn.

LEON SZKOCKI

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Illustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości" na r. 1916.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 35.

Logogryf:

W	a	g	n	e	r
A	r	n	i	k	a
L	o	n	d	y	n
E	d	w	a	r	d
N	e	w	t	o	n
T	o	m	b	a	k
Y	a	n	k	e	s
N	e	l	s	o	n
I	r	t	y	s	z
A	n	g	o	l	a
N	i	k	i	e	l

Szarada: Banialuka

Zadanie do przestawienia: Miłość ma długi nos.

Łamigłówka literacka:

Wojna chocimska.
Emancypantki
Irydion.
Sodalis Marianna.
Skarb watażki.
Eli Makower.
Niewinni.
Huragan
Ostatni z Nieczujów.
Fircyk w zalotach
Ferment.

Zadanie do przestawienia: Kto pierwszy do młyna przyjedzie, temu najprędzej się zmieli.

Trójkąt magiczny:

J	a	n	n	a	z	a	j	t	i	s
A	n	a	c	h	o	r	e	t	a	
N	i	e	t	z	s	c	h	e		
U	w	e	r	t	u	r	a			
S	t	o	c	h	o	d				
Z	a	t	o	k	a					
A	d	e	l	a						
J	a	w	a							
T	o	n								
I	ł									
S										

Zadanie do przestawienia: Ten się drapie, kogo swędzi.

Szarada: Kapusta.

Grzebieniówka:

M	a	r	o	i	n	O	r	a	o	o	w	i	c	z
u		y		n		ż		g		k		s		a
r		b		d		y		a		r		k		m
g		a		y		n		w		a		r		e
a		k		k		a		a		n		a		k

Bilety wizytowe: Inspektor szkolny. Poławiacz Pomocnik. Zakrystyanin. Tłomacz sądowy.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków, A. Kosiński Zakopane, M. Wyka Kraków, D. Ligęza Kraków, D. Sedyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, H. Korytowski Cieszyn, A. Siatka Kraków, J. Kwaśniewski Krzeszów, F. Gebhardt Kraków, J. Sadowski Kraków, H. Trojacki Wiedeń, C. Wang Wadowice, K. Sawliński Jasło, I. Brzostowski Krosno, S. Karwowski Berlin, D. Łopatyński Kraków, M. Klappholz Kraków, D. Engelberg Wiedeń, J. Lisowski Oświęcim, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Sucha, S. Krzyżanowski Kraków, J. Rosenbaum Skawina, J. Krawecki Wadowice, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Poddębie, J. Zachara Biała, J. Łopatkiewicz Praga, L. Lang Kraków, B. Zbigniewicz Kraków, S. Sokołowski Kraków, L. Kozubski Wiedeń, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Biała S. Bernatowicz Zakopane, M. Klimek Cieszyn, S. Lipski Wiedeń, S. Skowroński Wiedeń, J. Jahoda Cieszyn, T. Biliński Oświęcim, A. Dużak Kraków, S. Jasiński, Budapeszt, J. Broda Mor. Ostrawa, S. Grodzicki Praga, S. Kamocki Przemyśl, J. Topolnicki Lwów, M. Wiśniewska Lwów, S. Bednarski Przemyśl, S. Jaśkiewicz Wiedeń, L Kozubski Wiedeń, M. Wisłocka Tarnów, L. Serkowski Rzeszów, K Doliński Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **K. Kinalski, Biała.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

„Gazeta dla podoficerów". Ministerstwo wojny przystąpiło do zrealizowania od dawna upragnionej myśli, dając polecenie do założenia „Gazety dla podoficerów", która wychodzić będzie co dwa tygodnie w języku niemieckim, polskim i pięciu innych językach Monarchii Pierwszy numer ukazał się 15 sierpnia. Prenumerata wynosi półrocznie 2 kor. Nakład L. W. Seidel i syn, Wiedeń I, Graben 29

Wobec szybkiego postępu na wszystkich polach myśli ludzkiej okazała się troska o podniesienie poziomu umysłowego i moralnego życia korpusu podoficerskiego palącem zagadnieniem. Obok dowódców i oficerów współzawodniczą podoficerowie i prości żołnierze w wierności obowiązkom i ofiarności W tej krwawej wojnie okazało się ponownie, jak ważnym czynnikiem jest dzielny i wykształcony korpus podoficerski. Nie tylko jako pomocnik w pracy kierowniczej oficerów, ale także jak ich zastępca okazał on swoje zupełne uzdolnienie.

„Gazeta dla podoficerów" będzie starała się przez dawanie wskazówek na przyszłe obywatelskie życie przygotować swych Czytelników do tegoż: będzie ona obok rozrywki użyczać także materyału pouczającego. Kierownictwo pisma spoczywa w rękach kapitana w s. s Hugona Nagele, znanego zaszczytnie z działalności, jaką w zastępstwie naczelnego redaktora „Dziennika wojskowego Streffleura", jenerał-majora Wiktora Grzesickiego, rozwinął na tem stanowisku

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie. pod zarządem Pawła Madejskiego